№ 36 Warszawa, dnia 25 Sierpnia (6 Września) roku 1879.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

LISTY Z PODRÓŻY.

przez Stefana Marusińskiego.

Aleksandrya d. 20 września 1878.

Serdecznie Wam dziękuję za przysłane wiadomości zwłaszcza że za dni parę opuszczam Aleksandryą. Zdrowie dzięki Bogu służy mi dobrze, do klimatu jestem już przyzwyczajony, nic by mi więc nie brakowało, gdyby nie doniesienie o słabości chwilowéj kochanego Ojca. A teraz postaram się odpowiedzieć na pytania w przedostatnim liście. Będąc na Malcie nie widziałem innych pamiątek jak tylko rodzaj zamku nad portem, dziś kościół który pod wyłącznym zarządem Papieża zostaje, zresztą Anglicy inne pamiątki częścią wywieźli częścią w muzeach zachowali. W katedrze znajduje się dosyć portretów owych rycerzy najwięcej mistrzów zakonu. Co do owego bożyszcza Hindusów, jest niem rzeczywiście, jak przypuszczaliście, ów biały wół indyjski widziany przez nas we Wrocławskim zoologicznym ogrodzie, tylko ten jeszcze piękniejszy, prześlicznie ubrany w wieńce i kwiaty. Jest to jedno z bożyszcz które są tremsportabl inne bowiem w ich kraju to olbrzymie bałwany z drzewa lub kamienia, jak to zresztą jest wam wiadome. Lecz bałwany owe nie są tak niekształtnie wyciosane jak bożyszcze Papusów lub Malajczyków, owszem jest nawet pewien oryginalno straszliwy w nich wdzięk. Jednakowoż największą cześć odbiera biały wół.

Co do misyi do wnętrza Afryki, to przed 3-ma miesiącami udał się tam przez morze Czerwone pewien ksiądz francuzki (misyonarz) w celach religijno naukowych. Trzeba ci także wiedzieć, że w środkowéj Afryce nad lewem ramieniem Nilu na północ od miasta Akwak w państwie Dinka, znajduje się stała misya pod nazwą: Misya Ś-go Krzyża. Co się dzieje z tym misyonarzem obecnie powiedzieć nie mogę, bo wiadomości ztamtąd nie dochodzą. Już po za Kairem poczt europejskich nie ma. O Świętéj Rodzinie są podania między Arabami, gdyż Arabowie uważają Jezusa Chrystusa jako wielkiego Proroka i czczą Go także oraz Matkę Boską którą oni Miriam nazywają. Czytając Koran znalazłem tam ustępy gdzie Mahomet Jezusa Chr. wyżéj stawia od siebie, i gdy np. jest kłótnia między Arabem i Chrześcianinem, to wielka kara spotyka Araba, któryby ośmielił się kląć na Jez. Chr. noszącego po arabsku nazwę Nuszani (Nazarejczyk) dawaną każdemu chrześcianinowi. Przechodząc niedawno przedmieście arabskie słyszałem jak dzieci na mój widok mówiły: „patrz tam idzie Nazarejczyk.“

W pobliżu Mataneh, wioski niedaleko od Kairu, znajduje się źródło zwane po arabsku źródło słońca. Podanie mówi że w czasie ucieczki do Egiptu, słoną wodę tego źródła Matka Boska w słodką przemieniła. Tuż przy źródle stoi wiecznie zielony sykomor w cieniu którego Św. Rodzina odpoczywała. Za przybyciem do Kairu postaram się widzieć to wszystko. Wielkiem mojem pragnieniem jest żebym mógł kiedy zwiedzić Jeruzalem i ztamtąd wszystkim przywieźć pamiątki.

Do Kairu udam się koleją, ztamtąd zaś na statku wzdłuż Nilu do Kartum. Podróż będę odbywał powoli bo na to pozwolono jako ferye po mojéj chorobie i pracy. Zresztą znajdują się tam Europejczycy na towarzystwie mi więc nie braknie.

Przed kilku dniami siedząc po południu w ogrodzie pośród bananów i odłożywszy na bok książkę, dumam o was moi kochani, gdy wtem paf! i tuż przy moich nogach spada przepiórka. Biedactwo zmęczone podróżą przez morze Śródziemne widząc zieloność frunęła na dół. Złapałem ją tedy i trzymając w ręku przyglądałem się temu stworzeniu, którego już tak dawno nie widziałem, i myśl moja mimowoli zwróciła się na ojczyste pola gdzie przepiórki wieczorem tak przyjemnie swoje pójdźcie żąć! wykrzykują. Być może, pomyślałem sobie, że ta przepiórka z naszego pola i może nawet nasze proso, które na grobli przy wielkiéj łące rosło, za przytułek jéj służyło. Chciałbym rozumieć mowę ptaków a może byłbym się dowiedział co o was moi kochani od téj przepióreczki! Boże Ty miły! Tu w Egipcie jest prześlicznie, zachwycająco; lecz nie ma nic nad mój kraj kochany, i gdy da Bóg że wrócę kiedy do domu, to za nic nie przejdę nigdy więcéj granic Polski. We Wrocławiu będąc miałem parę polskich rodzin znajomych, w Algerze nawet między Francuzami jeszcze szło jako tako, i niekiedy była sposobność mówienia ojczystym językiem, lecz tu w Egipcie mówiąc niemal wyłącznie po angielsku a dokoła siebie słysząc same dziwno brzmiące dyalekty, czuję się być zupełnie obcym, jakby osamotnionym. Daję słowo, że gdybym mógł chłopa polskiego tu spotkać, przeniósłbym jego towarzystwo nad wszystkie moje dotychczasowe. Za Kairem ma podobno znajdować się Polak aptekarz, muszę go odwiedzić aby choć drogi dźwięk mowy naszéj usłyszéć.

W poprzednim liście dałem dosyć obszerny opis Aleksandryi, na dziś więc niewiele co będę mógł dorzucić.

Otóż obecnie jest miesiąc Ramazan w czasie którego mahometanie ścisły post zachowują: przez całe dni 30 zakazane jest, palić tytoń, pić wodę i jeść od godziny 4 rano aż do 6½ wieczorem. Arabowie obserwują surowo ten post i nadzwyczaj rzadko tylko zdarzają się wyjątki. Lecz za to gdy strzał armatni z portu objawia wiernym koniec postu, z setek tysięcy ust wydziera się radośny okrzyk Allach! i wszyscy zapalają papierosy lub piją wodę. Dziwna rzecz, biedny taki Arab pracuje ciężko dzień

cały bez posiłku i napoju, a jednakowoż nic mu tak nie dokucza jak zakaz palenia tytoniu, gdyż Arab bez papierosa prawie żyć nie może. Trzebaby wam widzieć wieczorem miasto i bazary arabskie, cóż to za życie, co za ruch, a wszędzie światła różnokolorowe, lampy, minarety pięknie oświetlone, rysują smukłe swe kształty na ciemno błękitnem tle nieba. Jest to widok prześliczny lecz daremnie siliłbym się na opisanie go.

Mieczek się pyta czy ja pijam wodę z Nilu, roznoszoną w olbrzymich kozich skórach? Woda ta wprawdzie nie jest zimną ani zbyt przezroczystą, lecz za to bardzo zdrową, ma smak nader przyjemny zwłaszcza teraz gdy Nil wysoko stoi. Cała powierzchnia rzeki roi się od mnóstwa statków i łódek arabskich, które z Kairu przywożą zboże, owoce, skóry i t. p. Wolną chwilą wychodzę zawsze po nad Nil najczęściéj nad wieczorem i przyglądam się temu widokowi. Niech się Mieczek nie boi, krokodyl mnie nie porwie bo ich tu nie ma, dopiero w górnym Egipcie można je widzieć.

Niedawno temu mieliśmy znowu Sammum, gorący wiatr od strony Arabii. Cóż to za upał straszny, dość że po zachodzie słońca termometr wskazywał 30 stopni R. Bielizna wzięta rano była w południe zmoczona do nitki, mankietki i kołnierzyk silnie skrochmalone zwinęły się w trąbkę. Jak ja tu żyję pisałem dawniéj, tak i teraz z małemi tylko wyjątkami. W zeszłą niedzielę odwiedziłem wioskę Ramleh, gdzie się znajdują pałace i wille bogatych Anglików. Miejsce to w pośród gajów palmowych, figowców, bananów i innych drzew zwrotnikowych położone, jest czarującem. Wieczorem wróciłem koleją do Aleksandryi. Czasami wychodzę po nad morze, gdzie niegdyś stał pałac Kleopatry, dla szukania rozmaitych starożytności, które niekiedy morze na brzeg wyrzuca. Trudnoby temu wierzyć po tylu wiekach, a jednak ja sam znalazłem kilka sztuk starożytnych monet i zachowałem je. Tak więc wiecie jak mi czas schodzi, dodam tylko że nadzwyczaj szybko przy pracy zbiega.

Kiedyś jedząc na podwieczorek banany, przypomniałem sobie jak to w dzieciństwie z Michasią i Manią zajadaliśmy zdobytą w ogrodzie kalarepę, marząc o zwrotnikowych lasach i południowych owocach. Czyż ja się kiedy spodziewałem że tak daleko zawędruję? Widać że co komu przeznaczone to go nie minie.

— Ach! moi drodzy, nie uwierzycie jak silne nerwy mieć trzeba, aby tu zasnąć spokojnie. Wystawcie sobie bowiem iż po zapaleniu świecy w wieczór i położywszy się do łóżka, widzieć się dają rozmaite domowe stworzenia egipskie; więc najprzód karakony niesłychanéj wielkości, które wszystko jedzą co napotkają: skórę, korki od butelek, obuwie i t. p., daléj skorpiony gryzące dosyć dotkliwie, oraz jaszczurki uganiające się po ścianach za muchami, nieraz i całą godzinę przyglądam się tym łowom; jest to coś zabawnego, do tego dodać przykry brzęk moskitosów, ukąszenie których jest nadzwyczaj swędzące a które nawet pod siatkę się dostają. Nie trzeba także zapominać że mrówki należą tutaj do zwykłych gości. Nic przed nimi ukryć niepodobna, dostają się wszędzie; do łóżka, do komody, kufra, stolika, a gdy czasem zostawi się co na stole jak np. owoc, chleb, ciastko lub coś podobnego, chociażby i zamknięte, to na drugi dzień ani śladu po tem nie znajdzie. W porozumieniu z karakonami zjedzą one wszystko co do okruszyny. Z początku dziwiło mnie to, zwłaszcza gdy karakony swoje igrzyska pod poduszką wyprawiały, lecz dziś przywykłem już tak że przykroby mi było zasypiać bez tego licznego towarzystwa. Lecz dla nowicyusza jest to coś okropnego.

A cóż Helenko jakby ci się to podobało? Wprawdzie żab tu nie ma lecz za to węże dość często się trafiają. W końcu piekielny wrzask kotów, które tu zdaje się rok cały gody wyprawiają, oraz posępne wycie psów z pustyni na żer się schodzących, oto obraz miłéj ciszy i spokoju nocnego. Niedawno temu wice-król wydał reskrypt, na mocy którego wszystkie psy miały być wytrute. Rozdano więc truciznę lecz zdaje się że pieniądze na arszenik, utonęły w kieszeniach Paszów, mięso zaś na ten cel przeznaczone, zostało w cichości spożyte a psy cieszą się jak przedtem najlepszem zdrowiem i spokojem. Teraz wspomnę pokrótce o swojem pożywieniu, i przyznam że kuchnia włoska niebardzo mnie zachwyca. Dziś np. podali mi dudki jako przysmak, oraz pomidory na surowo z solą. Za chlebem żytnim także mi tęskno, tutejszy bowiem jest czysto pszeniczny i ogromnie suchy. Arabowie zaś jedzą chleb jęczmienny lub Durrah (rodzaj kukurydzy pieczonéj). Potrawy arabskie smakują mi dosyć, słodycze zaś robią z ciasta z migdałami z miodem i makiem smażonego w oliwie, masła bowiem tutaj brak. Odkąd tu jestem krowy jeszcze nie widziałem, dawniéj musiały być, sądząc chociażby ze snu Faraona, a mleko tylko kozie jest w zwykłem użyciu. Tutejsze kozy wcale do naszych nie są podobne, uszy ich dochodzą olbrzymiéj wielkości, a sierć krótka różnokolorowa.

(*d. c. n.*)

CIEŃ.

Jakże straszna noc!
Deszcz o szyby dzwoni,
W duszy smutku moc
I oko łzę roni.

A za myślą mą
Czy w niebo wzlatuje,
Czy poi się łzą
Blady cień się snuje.

O! wzleć cieniu ty,
Gdzie wieczna tkwi wiosna,
Gdzie blask słońca lśni,
Gdzie pieśń brzmi radosna.

U mnie nawet dzień
Straszny, jak ta chwila,
Ach! usłuchał cień
I już się uchyla!

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

W téj chwili podniosła się Flaminia, twarz jéj zmieniła się nagle. Znikło z niéj rozrzewnienie, łzy oschły, powstał głęboki, uroczysty spokój.

— Słuchaj Maryanie rzekła z królewską powagą i odpowiedz mi na moje pytanie: Czy ty mnie kochasz?

Maryan spojrzał po wszystkich z zadziwieniem.

— Odpowiedz mi na to, powtórzyła Flamiaia, czy ty kochałeś biedną sierotę czy mniemaną bogatą heretyerkę?

Maryan groźnie spojrzał na Elizę. Eliza spuściła oczy w ziemię.

— Któż śmiał twierdzić, zawołał patrząc na siostrę, że ja kochałem się w nadziei bogatego spadkobierstwa?

— Nikt tego nie twierdził, odpowiedziała Eliza nie podnosząc oczu, mówiliśmy tylko o zmianie sytuacyi jaką sprawił testament nieboszczki...

— Przecież ciebie ta zmiana nie powinna obchodzić, zawołał Maryan, odkąd życzenia twoje czy raczéj pretensye są zaspokojone?...

Eliza zarumieniła się.

— Jeżeli co mówiłam, ozwała się, to mówiłam w interesie twoim.

— Czy wiesz jaki jest mój interes?

— Przecież stan nasz majątkowy i realne potrzeby życia nie należą do twoich tajemnic osobistych.

— Tajemnic z tego nigdy nie robiłem, a teraz cieszę się nawet że naprawiasz tem wyznaniem pierwszy swój błąd i że z twojéj łaski położenie nasze nie jest dzisiaj tajemnicą dla Flaminii... a teraz na mnie koléj zapytać: Flaminio, czy kochałaś we mnie mniemane miliony, czy twoje serce przywiązało się tylko do człowieka który nie swemi milionami, których nie ma, ale sercem swojem i trudami życia z tobą chce się podzielić?

— Na to już przed rodzicami i przed siostrą twoją dałam odpowiedź, odrzekła z widocznem wysileniem.

Maryan spojrzał na rodziców i Elizę.

— Zwracałam tylko uwagę na to, ozwała się Eliza, że rzeczywiste potrzeby życia i względy na prawa trzecich osób, jakimbądź węzłem z nami związanych wymagają od nas nie raz pewnych ofiar a nawet zrzeczenia się najmilszych dla naszego serca uczuć...

Wyprostowała się Flaminia i usiłowała zachować pokój.

— Jeżeli miłość moja, rzekła z uroczystą powagą, jeżeli przywiązanie moje ubliża prawom trzecich osób, to... mogę to uczucie dla samej czystéj miłości mojéj, na któréj nie powinno być żadnéj skazy... przezwyciężyć i pokonać.

Twarz jéj bladła przy tych słowach co raz więcéj a usta drżały, jakby nagle zimno mroziło jéj serce...

— A mnie nie pytasz, zapytał z wyrzutem Maryan, czy ja mogę moje uczucie pokonać?... Nie lękaj się, prawa trzech osób są i będą dla mnie zawsze święte i nietykalne.

— Wierzymy tym słowom Maryana, ozwał się pan Salezy.

— A ty Flaminio będziesz u nas miała prawa corki, dodała pani Apolonia, która przedewszystkiem pragnęła szczęścia swego syna i była jeszcze pod wrażeniem niedawnéj sceny.

Maryan chwycił rękę Flaminii i przycisnął do ust swoich gorących ale Flaminia pociągnęła go do pani Apolonii i tam zaraz z nim uklęknąć chciała... ale siły opuściły ją i padła zemdlona na ziemię.

Wszyscy pospieszyli na pomoc. Po chwili wróciła Flaminia do przytomności. Była jednak mocno blada i drżała na całem ciele.

— Zaprowadź ją do swego pokoju, niech tam odpocznie, zawołał pan Salezy do żony.

Pani Apolonia zaprowadziła ją do swego pokoju a Eliza zaniosła za nią szklankę wody.

W téj chwili otworzyły się drzwi a do saloniku z zwykłą włoską swobodą wszedł hrabia Stella.

Przywitawszy się z obecnymi i dowiedziawszy się o katastrofie ruszył głową kilka razy, powiedział

kilka frazesów o konieczności śmierci i zdziwił się niemało, gdy Maryan wspomniał o pogrzebie i zapytał go, czy zechce konduktowi towarzyszyć.

— Któż umarłemu towarzyszy do grobu? zapytał. U nas nie ma tego zwyczaju.

— Jakto? odrzekł pan Salezy, tu nikt z krewnych lub przyjaciół nie odprowadza nieboszczyka na wieczny odpoczynek?

— Ludzie najęci.

— Czy wy tutaj żadnego serca nie macie?

— Przeciwnie, mamy go więcéj od innych. Gdy człowiek skona, wszyscy krewni i najbliżsi opuszczają go, a najęci do tego ludzie zajmują się wszystkiem, czego potrzeba, póki się ziemia nad niemi nie zasypie.

— Czegoż to dowodzi?

— Że mamy... słabsze nerwy.

Eliza usłyszała głos hrabiego i wyszła.

— Bon jour, o czem tu mowa? zapytała.

— O pogrzebach weneckich, odpowiedział z chłodnym uśmiechem hrabia.

— Fi doue! O pogrzebach, któż o pogrzebach mówi gdy słońce tak pięknie świeci?...

— To tylko na wypadek, gdyby się zaciemniło...

— Pan jesteś dzisiaj niesmacznie dowcipnym.

— Może to tylko pierwsze danie?...

— A ja chciałam właśnie dzisiaj na seryo z panem mówić.

— Takie same nieraz miałem pragnienia, ale pani zawsze odmawiałaś mi swego poważnego nastroju.

— Czy chcesz się pan za to teraz wywdzięczyć?

— Uchowaj Boże! Nie tylko chcę uczynić zadość życzeniom pani, ale nawet w takich widokach sam tu przyszedłem.

— Cieszy mnie to, że choć raz nasze życzenia razem się zgadzają. Czy wiesz pan o czem myślę?

— Boję się wszelkich odgadywań, lubię pewność.

— Chciałam panu powiedzieć, abyś pan potrzebne kroki poczynił... bo inaczéj brat mój wyprzedzi nas.

— Pani myślisz o ślubie... bardzo dobrze. Chciałbym jednak przed ślubem interesa nasze uporządkować. Bardzo się cieszę, że to możemy zaraz zrobić w obec ojca i brata.

Eliza zadziwiona spojrzała na hrabiego. Nigdy tego przedmiotu nie tykał. Cóż to jest?

Nie mniejsze wrażenie sprawiło to na panu Salezym. Tego nigdy się nie spodziewał.

Maryan spojrzał z ironicznym uśmiechem na siostrę.

Hrabia rzucił się z całą swobą na fotel, założył nogę na nogę, przypatrywał się chwilę butom swoim jakby o czemś ważniejszem w téj chwili nie myślał, a potem rzekł:

— Chciałem od dawna tę ważną dla nas obojga kwestyę poruszyć ale nie było do tego sposobności. Dzisiaj nie podobna daléj odkładać, jeżeli pani żądasz odemnie ostatecznych kroków prowadzących do ołtarza. Jest to kwestya materyalnéj naszéj sytuacyi.

Twarz Elizy zarumieniła się. Pan Salezy rzucił wymowne spojrzenie na syna a Maryan miał jeszcze ten sam uśmiech ironiczny na twarzy z jakim wpatrywał się w siostrę swoją.

— Cóż to pana tak nagle zmieniło? ozwała się Eliza z złośliwym uśmiechem, z trubadura stajesz się pan nagle bankierem.

— Niestety, trubadurem zawsze być nie można, odparł hrabia, trzeba być także rachmistrzem.

— Nie poznaję pana. Do niedawnych dźwięków romantycznéj muzyki mieszasz pan nagle dźwięk metalu.

— Mogę go zastąpić, szelestem papierów, jeżeli metal działa na nerwy.

Z oczu czarnych Elizy strzeliły błyskawice.

— Co pana tak nagle usposobiło do takich żartów?

— Przez kilka miesięcy uczyłaś mnie pani dowcipnie żartować. Jestto więc pozostałość tylko po tak długiéj nauce, ale przechodzę do tonu poważnego.

Hrabia mówił to z uśmiechem żartobliwym. Podobna żartobliwa rozmowa prowadziła się często między hrabią a młodą ładną wdową, to też różne wyskoki takich żartów bynajmniéj nikogo nie raziły. Gdy jednak hrabia zapowiedział, że chce na seryo się rozmówić o położeniu materyalnym przyszłych młodych małżonków, zaniepokoiło to pana Salezego a twarz Elizy jaskrawym oblekło rumieńcem.

— Cóż pan chcesz powiedzieć? zapytała i zacisnęła usta.

— Chcę powiedzieć, odparł spokojnie hrabia, że nasze przyszłe, dzisiaj w tak różowych kolorach migające nam szczęście, wymaga pewnych realnych podstaw, bez których obejść się nie może.

Maryan uśmiechnął się do siostry. Rozdrażniło to Elizę.

— Zdaje mi się, odpowiedziała z sarkazmem, że owe wymarzone szczęście pana od samego początku szukało może owéj realnéj podstawy...

— Pani nie umiesz być spokojną, a z taką wadą nie można być szczęśliwą. Szczęście to spokój.

— Więc pan dążyłeś do tego spokojnego portu...

— Pani nie chcesz mnie rozumieć, a to samo może nie wystarczyć na pewną odpowiedź.

Czarne oczy Elizy iskrzyły się jak dwa rozrzarzone węgle. Maryan nie mieszał się do téj rozmowy. Innym razem nie byłby może pozwolił w ten sposób z siostrą swoją rozmawiać, ale po niedawnéj z nią scenie, przysłuchiwał się téj rozmowie z niemałem zadowoleniem. Cieszyło go, że argumenta Elizy, jakimi przekonać go chciała, zwróciły się teraz przeciw niéj saméj.

Pan Salezy nie miał odwagi wmieszać się do rozmowy. Biedny paralityk przysłuchiwał się tylko jéj z przykrem uczuciem.

— Niechże pan jasno do mnie mówi, rzekła po chwili Eliza z głębokiem westchnieniem, które jéj ześcieśnionéj piersi trochę ulgę sprawiło.

— Mamy przystąpić do ołtarza mówił spokojnie hrabia, i utworzyć dom familijny. Tytuł mój obowiązuje mnie, aby ten dom był na stopie temu tytułowi odpowiedniéj, Wydatki więc moje zwiększą się znacznie, a ja sam jeden własnemi memi środkami tych wydatków pokryć nie mogę...

— Tak zawczasu do najpiękniejszych uczuć serca mieszasz pan rachunki kuchenne, odpowiedziała z szyderstwem Eliza.

Maryan nie mógł powściągnąć uśmiechu patrząc teraz na siostrę. Żal mu się jednak zrobiło biednéj kobiety, która tak nieszczęśliwie złapała się w własne sieci swoje.

— Lepszy wczesny rachunek, odparł hrabia, niżeli późniejsze nieporozumienie.

— Za pozwoleniem, przerwał teraz Maryan, jeżeli pan sobie przypominasz, mówiłem panu wyraźnie o takim rachunku. Odpowiedziałeś, że jesteś w położeniu które pozwala ci *nie rachować się* z niczem.

Hrabia spojrzał na Maryana.

— Tak jest, rzekł po chwili, tak w saméj rzeczy powiedziałem. Miałem wtedy inne widoki. Byłem pewny spadkobierstwa po mojem stryju.

— A cóż się teraz z tym stryjem stało? zapytała z uśmiechem Eliza.

— Zamiast umrzéć... ożenił się, spokojnie odpowiedział hrabia.

— Więc dzisiejsze pana położenie bez nadziei spadkobierstwa...

— Jest takie, że bez pewnego rachunku nie mogę zrobić kroku tak ważnego, który wyrokuje nie tylko o mojéj przyszłości, ale i o przyszłości kobiety, którą kocham.

Roześmiała się Eliza czystym, pięknym dźwiękiem metalowym.

— Więc pan kochasz tę kobietę, rzekła z rozkoszném spojrzeniem, i obawiasz się o jéj szczęście przyszłe.

— Tak, pani.

— Otóż obowiązkiem jest téj nie mniéj pana kochającéj kobiety obawiać się również o szczęście pańskie.

— Święta, bezprzykładna zgoda. A teraz jakież wyjście jest przy takiéj obopólnéj zgodzie?

— Ile posagu z mojéj strony życzysz pan sobie?

— Tyle aby procent z niego mógł wystarczyć na utrzymanie domu godnego naszego nazwiska.

— A z swojéj strony ile pan możesz do tego dodać?

— Z mojéj strony... w chwili rozbicia moich nadziei po bogatym stryju... bardzo mało, albo może wcale nic... jak na teraz.

Eliza ukąsiła się w usta aż do krwi.

— Co do mnie, odparła żądania pańskie są wygórowane.

— W takim razie z boleścią serca musimy...

— Rozstać się, nieprawdaż?

Hrabia milczał patrząc w ziemię.

— Wszystkie piękne, poetyczne mrzonki muszą w kąt iść, gdy rozsądek bierze kredkę do ręki, mówiła daléj Eliza z gorącą ironią.

Hrabia milczał.

— Więc wszystkie owe piękne uczucia, owe westchnienia pełne poezyi lirycznéj na falach morza... owe sny rajskie i marzenia rajowe... wszystko to opada dzisiaj jak papierowa zbroja byłego na scenie rycerza...

— Nieubłagana rzeczywistość...

— Szkoda, że dopiero wtedy zjawiła się, gdy o ślubie kochankowi zaczęli mówić.

Hrabia ruszał głową.

— A więc rola romantycznego rycerza skończona mówiła z rosnącą namiętnością Eliza, wszystkie jego piękne słowa i spojrzenia gubią się pomiędzy kulisami a do spektatorów wychodzi zwykły śmiertelny człowiek, nieobmyty jeszcze z sztucznych swoich rumieńców, jakiemi na scenie zachwycała się jego królewna..

— Obowiązkiem moim była otwartość.

— Nie wiedziałam, że ten obowiązek, siedział ukryty po za szałem miłosnym.

W téj chwili ozwał się dzwonek silnie szarpnięty. Hrabia powstał.

— Zdaje mi się, że postąpiłem sobie szlachetnie.

— Może szlachetniéj byłoby nierozpoczynać.

— Zbyt jesteś pani rozdrażnioną, abyś z rozsądkiem mogła ocenić moje postępowanie.

— Zazdroszczę panu tego rozsądku. W kochającem sercu tak trudno o niego.

I gorący strumień łez wytrysnął z pięknych czarnych oczu nieszczęśliwéj kobiety. Obróciła się szybko do okna.

Tymczasem ukłonił się hrabia i wyszedł.

Maryan mógł mieć teraz zupełne zadowolenie

Eliza została pobitą własnemi argumentami, które przeciw niemu użyć chciała...

Zacne jednak serce Maryana nie znało rozkoszy zemsty. Żal mu było siostry, żal mu było że zabłąkana w mrzonkach niefortunnych złamała serce zacnego poczciwego człowieka, który w téj chwili z rozdartem sercem do swego samotnego domku na Podole dążył...

Przystąpił do niéj, wziął ją za rękę i chciał właśnie jakieś pocieszające wymówić do niéj słowo, gdy z przedpokoju zaleciała głośna między wychodzącym hrabią a nieznanym gościem rozmowa.

Wszyscy zwrócili na to uwagę, ale głosu nieznanego gościa dobrze rozpoznać nie mogli.

Rozmowa ustała, hrabia odszedł. Ozwało się teraz jakieś krząkanie, tupanie, suwanie nogami. Były przytem i westchnienia i przytłumione przekleństwa...

Wreszcie otworzyły się drzwi. Do pokoju wsuwał się teraz człowiek popychany jak automat jaki z tyłu przez służącego. Automat ten jednak sapał i wzdychał a od czasu do czasu dla rozmaitości pokaszliwał.

— Michaś! krzyknął pan Salezy i chciał ruszyć się z fotelu, aby przyjaciela młodych lat uściskać, ale nogi nie pozwoliły.

Widok przyjaciela dawnego bardzo mu teraz był na rękę. Niema rola, jaką odegrał przy rozmowie hrabiego z Elizą bardzo go zmęczyła. Był dla niego promień słońca po burzy.

— A pan Michał! zawołał także Maryan odchodząc od siostry, która szybko otarłszy oczy zwróciła się do gościa.

Ale pan Michał czy raczéj „Michaś" jak go pan Salezy powitał jak stanął przy progu tak ani rusz daléj postąpić. Obcas zawadził za próg a nogi w żaden sposób nie można było podnieść. Wreszcie ukląkł służący, podniósł „Michasiowi" nogę z butem i szczęśliwy właściciel téj nogi potoczył się nagle jak kula do fotelu pana Salezego. Szczęście że Maryan zatrzymał go w tym zapędzie, inaczéj dwaj przyjaciele byliby zbyt boleśnie przywitali się z sobą.

— Jak się masz Salezy, zawołał „Michaś."

— Jak się masz Michasiu, ozwał się pan Salezy.

I dwaj paralitycy uścisnęli się jak mogli.

— Postarzałeś się strasznie, rzekł po chwili pan Michał kiwając się na wszystkie strony.

— Nie tak bardzo, nie tak bardzo, odpowiedział pan Salezy usiłując swojéj sparaliżowanéj ręce nadać pozór zdrowy.

— Poddałeś się... Widzisz ja się trzymam jeszcze. Patrz jak prosto stoję. A jak tylko się rozchodzę, to powiadam ci, pędzę jak kula. Młokos nie mógłby mnie złapać...

— Już ja tam tak prędko nie chodzę... ale za to próg mnie za obcas nie złapie. Widzisz jak mogę podnieść nogi?

— Co tam. To takie głupie progi w Wenecyi, w Neapolu chodziłem jak *człowiek-mucha*. Co tam słychać?

— Z kąd wracasz?

— Z Sycylii. Tu było trochę za zimno. Czułem rwanie w nogach. Przyjechałem do was, bo u was już wiosna.

— Nadzieja na wiosnę.

— Jeżeli się nie mylę... mówiłeś na korytarzu z wychodzącym od nas hrabią *Stella*.

— Czy raczéj z hrabią *di Palco*, jak go powszechnie nazywają.

(*d. c. n.*)

PIENIĄDZE.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ **Bulwera**

z angielskiego przełożona przez M. G.

(Dalszy ciąg).

AKT III.

Scena I.

Salon w domu Sir Johna Vessey.

Sir John, Georgiana.

Sir John. I nie naglił cię o naznaczenie dnia ślubu.

Georgiana. Nie: i od téj chwili kiedy mi się oświadczył przychodzi tak rzadko i tak zachmurzony. Och! Sir Fryderyk był dwadzieścia razy zabawniéjszy.

Sir John. Ale Evelyn jest pięćdziesiąt razy bogatszy.

Georgiana. Sir Fryderyk tak dobrze się ubiera.

Sir John. Będziesz miała wspaniałe brylanty! Ale jeszcze słówko: widziałem cię wczoraj chodzącą po skwerze z Sir Fryderykiem; proszę cię, niech się to więcéj nie powtórzy. Kiedy panna jest zaręczona z jednym, nie ma nic bardziéj niewłaściwego nad kokietowanie z drugim. To nawet może wystawić twoje małżeństwo na zerwanie. To rzecz w wysokim stopniu niewłaściwa!

Georgiana. Nie obawiaj się ojcze, wkrótce się pocieszy... z Klarą.

Sir John. Kto? Evelyn.

Georgiana. Nie, Sir Fryderyk. Nienawidzę przewrotnych panien.

Sir John. Wesele będzie wspaniałe, jeśli nic nie przeszkodzi, wasz ślub będzie najwystawniéjszą ceremonią jaką wyobrazić sobie można.

Georgiana. Mój kochany dobry ojcze, umiesz wystawiać rzeczy tak wesoło i zabawnie, nie boisz się czasem żeby on nie odkrył że to Klara napisała ten list?

Sir John. Nie; zresztą pozbędę się Klary z domu. Ale jest jeszcze inna rzecz która mnie niepokoi. Wiesz dobrze że jak tylko Evelyn objął w posiadanie majątek, rozpoczął życie na książęcą stopę. Jego dom w Londynie to pałac, kupił ogromne dobra: uważaj tylko jak żyje, bale, obiady, sztuki piękne, fraszki, filantropia, dyabli wiedzą co, a każą za to wszystko dobrze płacić!

Georgiana. Jeśli mu na to wystarcza...

Sir John. Dopóki na tem poprzestawał byłem spokojny; ale od czasu kiedy się o ciebie oświadczył zaczął przebierać miarę. Mówią nawet że się rzucił do gry: zawsze razem z kapitanem Smorth. Nie ma majątku coby się mógł ostać przy Dudleyu Smorth. Jak się wplącze w kłopoty gotów jeszcze zerwać małżeństwo. To też musimy ślub przyśpieszyć.

Georgiana. Biedny Fryderyk! Jak myślisz ojcze, czy on może być rzeczywiście przywiązany do Klary?

Sir John. Daję ci słowo że nie wiem. Idź, włóż kapelusz, pojedziemy do Stara wybrać brylanty.

Georgiana. Brylanty! Myślę że przejażdżka rozerwie mnie trochę. Tak więc ojcze, pozbędziesz się Klary, ona taka fałszywa!

Sir John. Mniejsza o to, powiedz jéj żeby tu przyszła.

(Georgiana wychodzi).

Muszę go znaglić do małżeństwa. Georgiana nie ma dość zręczności żeby nim rządzić, przynajmniéj teraz kiedy jeszcze nie jest jego żoną, bo potem to już kobiety łatwo się tego uczą. To małżeństwo podniesie mnie niezmiernie w oczach świata! Myślę że Evelyn zostawi mi dziesięć tysięcy funtów Georgiany. Nie mogę myśléć bez trwogi o jego grze w karty, bo go kocham jak syna i na jego pieniądze patrzę jak na moje własne.

Scena II.

Klara, Sir John.

Sir John. Klaro, moja droga!

Klara. Panie.

Sir John. Moja droga to co ci powiem może ci się wyda trochę szorstkiem i nieprzyjemném, ale ty wiesz że podstawą mego charakteru jest szczerość. Więc do rzeczy, moje biedne dziecko wiem dobrze o twojem uczuciu dla Evelyna.

Klara. O mojem uczuciu?

Sir John. Wszyscy to wiedzą. Lady Kind mówi że nikniesz w oczach. Moje biedne dziecię, żal mi cię żal mi prawdziwie. Teraz idzie o ten list któryś napisała do jego piastunki... świat jest tak złośliwy! Nie wiem czym dobrze postąpił, ale kiedy się Evelyn oświadczył Georgianie, pomyślałem że jest to bardzo nieprzyjemnem dla młodéj jak ty panny, być posądzoną o jakieś uczucia dla młodego człowieka, który cię nie kocha i wolałem ażeby sądzono że to Georgiana sama ten list napisała.

Klara. Panie, nie wiem kto panu dał prawo...

Sir John. To prawda moja droga; i przyszło mi już niejednokrotnie na myśl że może powinienem był powiedziéć Evelynowi że ten list był od ciebie, nieprawdaż?

Klara, Nie panie, proszę nie czyń pan tego. Ja... ja...

(płacze).

Sir John. Moja droga Klaro, nie płacz, nie byłbym ci tego powiedział za nic w świecie, gdybym nie był niespokojny o moją dziewczynkę. Georgiana czuje się tak nieszczęśliwą z powodu tego co wszyscy mówią o twojéj miłości...

Klara (z przerażeniem). Wszyscy mówią?

Sir John. Że to ją gryzie niepomiernie i wpływa nawet na skwaszenie charakteru! Chociaż jak wiesz ślub ma się odbyć wkrótce, Evelyn nie bywa u nas tak często jakby powinien. Jednem słowem obawiam się że te drobne zazdrości i podejrzenia zatrują im życie. Jestem ojcem, przebacz mi...

Klara. Zatruję im życie. O nigdy! Co pan chcesz żebym zrobiła?

Sir John. Teraz, widzisz, jesteś niezależną. Lady Franklin, o ile się zdaje, zamierza zostać jakiś czas w mieście. Nie sądzę żeby miała odebrać rodzinie należący się po niéj majątek, dla jakiejś nie dorzecznéj skłonności do pana Graves. Włóczy się on, kręci i wzdycha koło domu jak student pierwszy raz zakochany. Co o tem myślisz, Klaro?

Klara. Panie, wszakże to o mnie, o mojéj nieszczęśliwéj osobie miałeś mi mówić.

Sir John. Prawda. Chciałem ci to powiedziéć: Lady Franklin upiera się żeby zostać tutaj; ty zaś jesteś panią swéj woli. Pani Carlton, siostra nieboszczki mojéj żony, jedzie za granicę na niedługi czas, i byłaby bardzo rada gdybyś zechciała jéj towarzyszyć.

Klara. Właśnie chciałam pana prosić o tę łaskę. (na str.) Usunę się przynajmniéj od tych walk

i wstydu. (do Sir Johna) Kiedy pani Carlton wyjeżdża?

Sir John. Za pięć dni, w przyszły poniedziałek. Czy mi przebaczasz?

Klara. Z całego serca dziękuję panu.

Sir John (przysuwając jéj stolik). Więc kiedy tak, możebyś napisała słówko do niéj, i ułożyła tę rzecz ostatecznie?

(wchodzi służący).

Służący. Powóz już zaszedł; miss Vessey oczekuje.

Sir John. Zaczekaj chwilę. (do Klary) Więc mam powiedzieć Evelynowi że to ty ów list napisałaś?

Klara. Za nic w świecie, proszę pana o to.

Sir John. Ale widzisz będzie to niekorzystnie dla Georgiany, jak się ta rzecz wyda.

Klara. Nie wyda się nigdy.

Sir John. No dobrze, dobrze, kiedy tak sobie życzysz. Wiem że byłoby to bardzo przykrem dla młodéj panny jak ty dumnéj i delikatnéj. James słuchaj. Jeźli pan Serion, duchowny przyjdzie, powiedz żem pojechał na wielki mieting w Ekseter-tak; Jeżeli Lord Spruce przyjdzie, powiedz że ci się zdaje żem pojechał na próbę Cinderelli. A jeżeli, Mac Finck, który mnie nachodzi trzy razy w tydzień, powiedz żem się udał bardzo pośpiesznie do Garzaway ażeby się ułożyć o cenę dóbr Bulstinde. Połóż bilet księcia Lotly na stole w przedsionku. A teraz mówię ci James, że spodziewam się dwóch panów przed samym obiadem, pana Squab radykalistę. i pana Qualm, członka wielkiego konserwatywnego stowarzyszenia. Wprowadź Squaba do biblioteki i nie zapomnij dać mu do czytania „Tygodnik słonecznéj prawdy“, Qualma zaś umieść w drugim salonie i daj mu Timesa. Trzeba przecież jakoś urządzać te rzeczy na świecie. Wszystko blaga wszystko blaga, na moję duszę.

(wychodzi).

Klara (składając list). Tak więc postanowienie moje nieodwołalne, kilka dni jeszcze a rozstaniemy się na zawsze. Kilka tygodni a inna będzie nosić jego imię... będzie jego żoną. Szczęśliwa! Będzie miała prawo powiedziéć mu, choćby cały świat miał ją słyszéć: jestem twoją! I ja miałabym zatruwać ich szczęście, rzucać cień na ich radość. A jednak, o mój najdroższy, jeżeli ona kochać cię będzie, oceniać, przebaczać ci kiedy ją zranisz tak jak ja ci przebaczam, o w takim razie będę ją błogosławić i zdala od was, łączyć będę jéj imię w modlitwach moich za ciebie.

Evelin (za sceną). Miss Vesey tylko co wyjechała? W takim razie napiszę do niéj słówko.

Scena III.

Evelyn, Klara.

Evelin (na str.). Co widzę, Klara! (głośno) Nie przeszkadzam pani Miss Douglas.

Klara (idąc ku drzwiom). Bynajmniéj, już skończyłam pisanie.

Evelyn. Widzę że obecność moja zawsze jest pani wstrętną. To właśnie jest przyczyną że tak rzadko tu przychodzę. Ach pociesz się pani, przyszedłem dziś po to jedynie żeby oznaczyć dzień ślubu, a potem wyjeżdżam na wieś i pozostanę tam aż do... aż do, jednem słowem, raz to ostatni obecność moja zmusza panią opuścić pokój do którego wchodzę.

Klara (na str.). Ostatni raz. I nigdy już więcéj się nie spotkamy! Mamyż się tak rozstać na zawsze w gniewie z żalem w sercu... nie, nie mogę tego przenieść! (zbliżając się do Evelyna) Alfredzie kuzynie, to prawda że może ostatni raz się widzimy... opuszczam Anglią.

Evelin. Opuszczasz pani Anglią?

Klara. Tak, ale nim wyjadę, pozwól mi podziękować za życzliwość tylekroć mi okazywaną, za życzliwość któréj niełatwo zapomniéć sierocie.

Evelyn (machinalnie). Opuszczasz pani Anglią.

Klara. Oddawna tego pragnęłam, ale dosyć o moich sprawach. Alfredzie, teraz kiedy jesteś zaręczony z inną... teraz nie poruszając przeszłości bez obawy nieporozumienia i nowéj pomyłki, mógłbyś mi powrócić trochę dawnéj naszéj przyjaźni. A ja gdybym tylko śmiała... mam coś na sercu co tylko prawdziwa przyjaciołka albo siostra mogłaby ci powiedziéć.

Evelyn (wzruszony). Miss Douglas, Klaro, jeżeli jest cokolwiek co zrobić mogę, jeżeli jest prawdą to co tysiące obcych ludzi żebraków, natrętów mówią mi bezustanku, że mam władzę odegnać troski, pocieszyć nędzę otwarciem téj niegodnéj ręki, jeżeli więc... jeżeli moje życie, krew moja, mogą się przydać na coś tobie tak jak złoto moje ludziom obcym... powiedz! a przeszłość do któréj się odwołujesz, tak nawet ta gorzka przeszłość, zniknie... wymażę ją z pamięci... zapomnę!

Klara (wyciągając rękę). Jesteśmy więc znowu przyjaciółmi! Jesteś znów moim kuzynem, bratem!

Evelyn (puszczając jéj rękę). Bratem? Mów, słucham...

Klara. Powiem ci więc to co tylko siostra choć sama słaba niedoświadczona powiedziéć może bratu, dla którego czuje w swem sercu męką dumę. Alfredzie kiedyś dziedziczył ten olbrzymi majątek, cieszyłam się myśląc jak będziesz używał władzy danéj ci tak niespodziewanie. Znając twój charakter, rozum, dobroczynność, serce gorące które się ukrywa pod szatą zimnego szyderstwa, widziałam już świetną przyszłość otwierającą się nakoniec przed tobą po tylu latach cierpień i ubóstwa. Wtedy myślałam często, że kiedyś w przyszłości, kiedy już będę daleko ztąd, co wkrótce nastąpi, kiedy posłyszę imię twoje złączone nie z tem do czego majątek daje podstawę, ale z czynami i dziełami do których majątek dla dusz wyższych jest tylko narzędziem, myślałam często że wówczas płacząc radości łzami będę mogła powiedziéć sobie w głębi duszy: ten człowiek kochał mnie kiedyś!

Evelyn. Dosyć już, Klaro. Na Boga ani słowa więcéj!

Klara. Ale czy się spełniło to o czem marzyłam? Czyś wiernym był swoim zasadom, samemu sobie? Przepych, rozrzutność, zabawy, zbytki, szaleństwa wszelkiego rodzaju, mogą innym zdawać się wystarczającemi do odznaczenia się w świecie, ale plamią i poniżają taką duszę, takie serce jak twoje Alfredzie! Przebacz mi, jestem za szczerą, cierpię... obrażam cię... Ach, nie śmiałabym nigdy powiedziéć ci tego co mówię, gdyby mi nie przychodziło na myśl, czasami, że... że...

Evelyn. Że te szaleństwa, próżność, upadek moralny, były twojem własnem dziełem. Myślałaś to, i miałaś zupełną słuszność. Może być że po młodości spędzonéj w ubóstwie, napojonéj na wskroś goryczą, zapragnąłem poznać z bliska wartość tego, świetnego, błyszczącego żywota bogaczów, na który spoglądałem był dawniéj z ostatnich szczebli drabiny, pełen zgrozy i oburzenia. Ale jeden miesiąc jeden tydzień nawet byłyby mi wystarczyły na to doświadczenie. Doświadczenie! Ach jakże prędko poznajemy że serca są tak zimne, a dusze tak nieczynne, bez względu na to czy słońce oświetla wielkiego pana w jego pałacu, lub téż deszcz oblewa łachmany żebraka skulonego pod jego bramą. Ostateczności życia w tem się jedynie różnią; w górze występek bawi się i śmieje... w dole zbrodnia czai się i umiera z głodu. Ale ty, ty Klaro, czyliżeś mnie nie odrzuciła dlatego że byłem ubogi? Pogardź mną jeźli zechcesz, zemsta moja może jest niegodną, ale chciałem ci tylko pokazać jakim przepychem, blaskiem, wspaniałością, które tak cenisz, które kobiety przenoszą nad wszystko, byłbym cię otoczył gdybyś mnie była kochała. Ale naprożno, naprożno... zarówno ubóstwo moje i dostatki jednakowo na cię oddziałały. Nie kochałaś mnie ani ubogim ani bogatym i los mój już się rozstrzygnął.

Klara. Szczęśliwy los, Alfredzie! kochasz...

Evelyn. I nakoniec jestem kochany wzajemnie. (po chwili zwracając się nagle do niéj) Czy wątpisz?

Klara. Nie, wierzę w to najzupełniéj. (na str.) byłożby to podobnem żeby ona mogła go nie kochać?

Evelyn. Może być że Georgiana jest próżną, lekkomyślną i...

Klara. O nie myśl tego! Raz usunąwszy ją od światowego otoczenia, od rad ojca, zrobisz z nią co zechcesz, podniesiesz ją do swego poziomu. Ona jeszcze taka młoda, piękna, wesoła, ma dobry charakter; resztę ty w nią wpoisz, jeżeli tylko ze chcesz być wiernym swoim zasadom. A teraz, kiedu już nic nas nie rozdziela, nawet żal, ani (z uśmiechem) nawet uraza, nie wątpię kuzynie że powrócisz do swego dawniejszego ja: teraz więc, pożegnajmy się.

Evelyn. Nie, jeszcze chwilę; więc jeszcze zajmujesz się moim losem. Miałżebym się pomylić? Och! czemuż odepchnęłaś serce, które ci się tak całkowicie oddało? Mogłabyś może jeszcze... jeszcze... Złudzenie! sam nie wiem co mówię, nie jestem już wolny, miłość moją przyjęto i odwzajemniono! Więc pożegnajmy się Klaro, może tak i lepiéj! Jednak, napotkasz może kiedyś kogoś o kogo dbać będziesz więcéj niż o mnie, dla którego szaleństw pobłażliwszą będzież niż byłaś dla mnie, komu zechcesz dać słodsze jeszcze imię niż imię brata.

Klara (na str.). Może go uczynię szczęśliwszym jeśli będzie mógł w to uwierzyć. (do Evelyna) Może być, myśl jak zechcesz, ale rozstańmy się przyjaciółmi.

Evelyn. Przyjaciółmi! i to ma być wszystko? Spojrz tylko, co to jest życie. Oczy których spojrzenie rozpędzało najcięższe troski, ręka któréj jedno dotknięcie przejmowało do głębi serca, obecność która jak światło słońca złociła najsmutniejsze chwile; rok, miesiąc, dzień niech upłynie, a uśmiechać się będziemy na wspomnienie żeśmy mogli marzyć tak czarownie. Wszystko, wszystko, skończone: urok któremu raz tylko się podlega, który nie powraca już nigdy, bez powrotnie rozwiany. I ta która najpierwéj zapomni, ta która życiu twojemu zatruła jego wiosnę, przychodzi do ciebie i mówi najobojętniéj w świecie: rozstańmy się przyjaciołmi. Idź Klaro, idź... i bądź szczęśliwą... jeśli możesz...

Klara (płacząc). Okrutny, okrutny jesteś dla mnie do końca, niech ci Bóg przebaczy Alfredzie.

(wychodzi).

Evelyn. Wyszła! niech sobie przypomnę jéj słowa, głos, spojrzenia. Miałażby mnie kochać? Broni swojéj rywalki, nie zaprzeczyła kiedym jéj zarzucił miłość dla kogo innego, a jednak... jednak, głos jakiś mi mówi że postąpiłem jak szaleniec w przystępie zazdrości i gniewu. Zrobiłem już wybór, muszę wytrwać do końca.

(wchodzi Graves wprowadzony przez służącego).

Służący. Lady Franklin ubiera się w téj chwili.

(d. c. n.)

Korespondencya zagraniczna.

(Dokończenie).

Mistres Braddon, najpopularniejsza z autorów i autorek tegoczesnych angielskich, która, jak mówią, jedna na świecie zdolna jest oderwać księcia Bismarcka od jego zajęć i kłopotów politycznych a zarazem jest ulubioną powieściopisarką cesarza Wilhelma, napisała nowy romans p n. „*Vixen.*“ Jest to jéj trzydziesty szósty utwór i zalicza się niezawodnie do najcelniejszych jakie wyszły z pod jéj pióra.

W potocznéj mowie Vixen oznacza, jak to u nas mówią, Heroda babę, postrach domowego ogniska, kłótliwą żonę lub pannę złośnicę, ale w łowieckim języku angielskim, jest to wyrażenie techniczne, oznaczające samicę lisa. Autorka objaśnia to czytelnikowi na pierwszéj zaraz stronicy dzieła, gdy pewien myśliwy dowiadujący się że żona jego powiła córkę, zawołał z nieukontentowaniem: „A więc to tylko Vixen!“ Ale w końcu jak zaczął coraz więcéj wpatrywać się w Vixen, ukochał ją nad wszystko w świecie.

Vixen urosła piękna, dumna, uwielbiana i zachowała zawsze przezwisko jakie ojciec nadał jéj zaraz po urodzeniu, które zresztą dość się nadaje do rodzaju jéj piękności. Ładną twarzyczkę otaczają grube sploty czerwonawych włosów; niewielkie, zbliżone do siebie oczy ciskały płomienie, a przebiegłość tryskająca z jéj oczu i twarzy, zdradzająca raczéj złośliwość niż tkliwość, przypominały nieco chytrość i wesołość młodego lisa który jeszcze nie odstępuje matki i nie myśli o niczem tylko o jedzeniu i swobodzie. Vixen, która była nieodłączną towarzyszką i przyjaciółką ojca, równie jak on jest szalenie rozmiłowana w myśliwstwie, a jako dobra uczenica, już w piętnastym roku umie przeskakiwać płoty i rowy i gonić za lisem tak śmiało jak najstarsi okoliczni nemrodowie. Ale rozkoszne to życie kończy się gdy miała lat piętnaście skutkiem nagłéj śmierci ojca, który wracając obok córki z nader świetnego polowania i rozpowiadając myśliwskie przygody, nagle opuszcza głowę, spada z konia i umiera. Straszny ten cios, pierwszy w rozkosznem życiu Vixeny, zwraca jéj myśli ku poważnéj stronie życia i odpowiedzialności jaką ono na nas wkłada. Jakaż to serdeczność i świeżość uczuć wieje ze stronnic na których mowa o miłości! najmłodszy poeta nie mógłby wyrażać się ogniściéj i poetyczniej zarazem. Powtarzam, że jest to może najcelniejszy utwór słynnéj autorki.

Wiadomo że już oddawna „sportsmeni“ angielscy po minionym sezonie myśliwskim w swéj ojczyźnie, udawali się na dalsze łowy za granicę, już to na północ, już to na południe. Od lat pięciu ulubionem miejscem wycieczek tych zapalonych nemrodów była Norwegia; ale obecnie rząd szwedzki, przerażony widać szkodami jakie wyrządzały psy, dubeltówki i myśliwi angielscy, wydał postanowienie mocą którego za każdą dubeltówkę angielską opłaca się 225 fr. a wylądowywanie psów angielskich jest bezwarunkowo zabronione. Oburzeni tem arbitralnem postanowieniem, młodzi nemrodowie opuścili grunta norwegskie, zwracając się ku innym krańcom świata, mianowicie ku Australii. Tam to można wykazać w całym blasku zręczność, wprawę i cierpliwość prawdziwego myśliwca. Polowanie na kangury, przedstawia urok nowości obok większych daleko niebezpieczeństw niż ściganie dzikich zwierząt europejskich, a daléj łączy pożytek z przyjemnością. W tym roku pierwsze próby tego nowego rodzaju polowania miały mieć miejsce w Queensland, którego grunta pustoszą niezliczone gromady kangurów, zjadających w niektórych okręgach wszystką trawę jaka się tylko pokaże, co zagraża zupełną ruiną kolonistom, których byt stanowi hodowla owiec i handel ich wełną. Urzędowe sprawozdania nadsyłane do Anglii, dozwalają oceniać szkody zrządzane przez te zwierzęta. Tysiące morgów pastwisk leżą ogołocone z trawy; grunta na których można było utrzymywać po 50,000 owiec, dziś zaledwie kilka setek wyżywić mogą.

„Od dwóch miesięcy, pisze gubernator Queenslandu, wytępiliśmy prawie 12,000 kangurów, a mimo to nie znać aby liczba ich się zmniejszyła. Ze względu na groźne niebezpieczeństwa jakiemi zagraża ich rozmnażanie się około osad (settlements) uważałem za stosowne wyznaczyć 9 pensów nagrody za każdą dostawioną do stacyi głowę kangura.“ Ale i ta nagroda nie zdołała uwolnić kraju od strasznych nieprzyjaciół osadników, bardzo więc mile powitają tam niespodziewaną pomoc jaką zapewnia kolonii to stowarzyszenie odważnych myśliwych przybywających do Qeenslandu. Ten zupełnie nowy rodzaj polowania, nastręcza zapalonym nemrodom nieznane wrażenia, spotęgowane niebezpieczeństwem, a i korzyści jakie zapewnia nie są do pogardzenia, gdyż skóry kangurów dają bardzo piękne futra, prawie nieznane dotąd w Europie, z powodu trudności jakie na miejscu przedstawia ich wyprawa, a zanadto się znowu zsychają podczas długiéj podróży z Australii do Anglii.

Polowanie na kangury jest bardzo zajmujące, ale wymaga wielkiéj wprawy i odwagi; nadzwyczaj trudno jest trafić do kangura, który uciekając skacze i podskakuje, przez co nie przedstawia stałego punktu do celowania; to też najśmielsi, najwytrawniejsi myśliwi szkoccy, nawykli uganiać się po górach za jeleniami, stają się zupełnymi nowicyuszami, gdy im przyjdzie gonić za kangurem, zmykającym w szalonych skokach po nierównym gruncie, głębokich parowach i dziewiczych lasach tego po większéj części nieuprawnego i mało jeszcze zaludnionego kraju. Utrzymują że polowanie na kangury jest równie niebezpiecznem i utrudzającem jak polowanie na dzika.

Gdy minie czas polowania na kangury, myśliwi zwrócą się przeciw królikom, które także sprzysięgły się na zachwianie rozwoju i pomyślności kolonii. Co prawda téj gałęzi sportu brak uroku i niebezpieczeństwa, ale znowu zapewnia wielkie zyski i błogie następstwa mające wyniknąć z wyniszczenia tych szkodników. Wielu fermierów zmuszeni byli uciekać ze swych gruntów przed królikami, które w przeciągu ośmiu dni, pochłonęły całe zbiory ze stu morgów gruntu.

Znalazł się jednak jeden spekulant przybyły z Europy, który sprobował ciągnąć z nich korzyści. Przed trzema laty przybył do kolonii pewien biedny Medyolańczyk, żadnych nie posiadający zasobów, wpadł na myśl jak wielkie mógłby przynieść zyski handel królikami australijskiemi z Europą; jakoż wysyła ich ogromne transporta, a zakład jego w Medyolanie, w którym skóry te są oczyszczane parą i wyprawiane dostarcza damom Londynu i Paryża tych lekkich i ciepłych futerek, które obecnie są tak modne. Pomysłowy ten przedsiębierca zrobił już znaczny majątek.

T. C.

Kronika Paryzka.

Dzieło o Chinach przez Marko-Polo i opowiadanie pewnéj Paryżanki p. t. z Marsylii do Schanghai.

Jak powieściopisarze francuzcy usiłują dać obrazy zaczerpnięte z życia warstwy i ludzi dotychczas mało znanéj, tak historycy znowu dokładają wszelkich możliwych starań, aby wytłomaczyć dzieje różnorodnych narodów, w epokach częstokroć bardzo odległych. Długi czas Grecya, jéj historya i literatura była ostatecznym krańcem wiadomości współczesnych; od czasu jednak znalezienia klucza otwierającego podwoje Chin tajemniczych, uczeni rzucili się z młodzieńczym zapałem do opisania téj krainy, nieznanéj już nietylko pod względem jéj obecnego stanu, ale i pod względem przeszłości sięgającéj do najbardziéj odległych pokoleń.

Przez długi czas o państwie chińskiem wspominano z pogardą, co było rzeczą najmniéj właściwą. Mocarstwo to położone na krańcach wschodu, przez sam byt swój od wielu tysięcy lat, przez objawioną żywotność zdolną oprzéć się niszczącéj wszystkie sile czasu, i następstwom walk wewnętrznych, spowodowanych zmianą dwudziestu dynastyi; nareszcie przez wysoką cywilizacyą, w chwili w któréj Europa pogrążoną była w stanie największego barbarzyństwa: powinno wzbudzić wielką ciekawość w kołach czytelników, umiejących i chcących zdać sobie sprawę z warunków zjawisk społecznych i politycznych.

Nie wspominając o dawniejszych, w roku bieżącym wyszło w Paryżu kilka dzieł dotyczących tego przedmiotu, nadzwyczajnie ciekawych i zajmujących.

Jedno z nich obejmujące opowiadanie podane przez Marco-Polo, sprawdzonem zostało wielokrotnie przez późniejszych podróżopisarzy i uczonych, i dzisiaj jego wiarogodność nie ulega najmniejszéj wątpliwości.

Odczytując wzmiankowane dzieło, przede wszystkiem uderzeni jesteśmy podobieństwem Chin z wielu względów do Europy feudalnéj. Tu i tam dostrzegamy miasta otoczone murami, zamki obronne wśród miast, i szerokie przestrzenie ziemi, pomiędzy wałami broniącymi przystępu a samem mieszkaniem barona. Ogromne sale w pałacach chińskich, zdolne pomieścić dziesięć tysięcy osób, przypominają słynne sale broni, dawnych panów feudalnych.

Szczególniéj ceremoniał zachowywany na dworach królewskich, jest wielce do siebie zbliżonym, bez względu na dwa odwrotne krańce wschodu i zachodu.

W czasie uczty, chan owczesny władzca Chin, siedział przy osobnym stole na podwyższeniu w towarzystwie jedynie swéj pierwszéj małżonki, siedzącéj z lewéj strony. Z prawéj strony zajmowali miejsca synowie chana, jego synowcy i krewni, ale przy stole ustawionym znacznie niżéj; ich głowy były na równi z wysokością nóg panującego.

Daléj siedzieli baronowie uporządkowani jak najściśléj wedle swéj godności i znaczenia: każdemu bowiem wcześnie oznaczone było miejsce właściwe. Rodzina cesarska, względnie do baronów, siedziała na podwyższeniu ale w stosunku zmniejszonym, już nie nogi ale piersi były na równi z głowami zgromadzonych wassali.

Obok Chana stała ogromna waza szczerozłota, zkąd podczaszy czerpał wino, rozsełając je pomiędzy zaproszonych.

Chan obsługiwanym był przy stole przez najzna-

komitszych dygnitarzy państwa. Usta ich i nos zakryte były płótnem i jedwabiem przerabianym złotem, aby przypadkiem oddech ich nie zbrudził pożywienia wielkiego władzcy. Skoro objawiał chęć picia natychmiast muzyka rozpoczynała odgrywać odpowiednie utwory; skoro ujął puchar w rękę, wszyscy zebrani upadają na twarz na znak wielkiéj pokory. Przy każdem piciu Chana, jeden i ten sam ceremoniał powtarzanym był ustawicznie. Po uczcie zjawiają się szarlatani i skoczki, pobudzając zebranych do śmiechu i wesołości.

Etykieta w niektórych względach jest wyższą w państwach europejskich, aniżeli w Chinach: we Francyi i Anglii widzimy często ojca, stojącego za krzesłem córki, i posługującego jéj z uszanowaniem, jeżeli ta przez zawarte małżeństwo, zajęła wyższe stanowisko w społeczeństwie. Podobna okoliczność nie mogła miéć miejsca w Chinach, gdzie uszanowanie i miłość dla rodziców, uważane były za najważniejszy obowiązek obywatela. Ochraniane też tam są starannie węzły rodzinne od wszelkiego szwanku; syn nie mógł być mandarynem w prowincyi gdzie mieszkał jego ojciec, z obawy aby uczucia synowskie nie były narażone na uszczerbek, ze względu na obowiązki urzędnika.

Feudalizm w Chinach, powstał od czasu zdobycia téj krainy przez Mongołów. Wedle świadectwa historyków Chińskich, Khoubilai wnuk Gen gis hana, dla ostatecznego zbudowania ogromnego swego państwa, poświęcił życie ośmnastu milionów ludzi. Naród mongolski na którego stał czele, miał usposobienie zdolne z widokami władzcy, przedsiębiorącego dalekie wyprawy dla uskutecznienia nowych zdobyczy. W razie potrzeby umieli się oni obejść miesiąc cały bez stałych zapasów żywności: żyjąc mlekiem, upolowaną zwierzyną, niosąc na plecach za wzorem dzisiejszego wojska regularnego, wszystkie przedmioty posługujące do potrzeb kuchennych, jakotéż namiot zabezpieczający od deszczu i zimna.

W razie zabłąkania się, lub przedłużonéj nad wszelkie spodziewanie podróży, wśród stepów bezludnych, przy zupełnym braku żywności, w warunkach w których każdy Europejczyk zginąłby niechybnie, mongoł umiał jeszcze utrzymać życie przez dni dziesięć, a jeżeli nie był sytym, to przynajmniéj uchronił siły swe, od zupełnego wyczerpania. W takim razie, wojownik otwierał żyłę koniowi, na którym jechał, i utoczoną krew mieszał z wyskokiem mleka, przechowywanem zawsze na wypadki nadzwyczajne, co mówiąc nawiasem dowodzi, że tak nazwane mleko zgęszczone (concentré) sprzedawane od niedawnego czasu na targach europejskich, znane było od dawna w Azyi środkowéj.

Ludność tego rodzaju, z łatwością podbiła ośmdziesiąt milionów Chińczyków, z usposobienia spokojnych, zajętych rolnictwem i innemi pracami, wymagającemi pokoju.

Mongołowie, przynajmniéj w Chinach, obchodzili się po ludzku ze zwyciężonymi, nie tamując dobrobytu ale dopomagając o ile możności do jego rozwoju.

Nie wchodzili jednak w bliższą zażyłość ze zwyciężonymi, każde miasto rozdzielonem było na część tatarską i część chińską; część tatarska była zazwyczaj fortecą, przeznaczoną czuwać nad uległością mieszkańców. W czasach, w których Paryż i Londyn zaliczone być mogły do miast trzeciorzędnych w dzisiejszem znaczeniu, w których Rzym nawet posiadał więcéj gruzów, aniżeli domów całych; miasto Quinsay chociaż przestało być stolicą Chin, liczyło dwa miliony dwakroć sto tysięcy ludności, i było drugą Wenecyą w zwiększonych ogromnie rozmiarach, tylu bowiem kanałami było przerźnięte w najrozmaitszych kierunkach. Miało przytem przeszło milion domów. Tak ogromna ilość nie może nas dziwić, ponieważ wzniesione budowle były małe, nizkie, posługując za mieszkanie dla jednéj tylko rodziny; syn nawet dorosły mieszkał oddzielnie, tak dalece wolność osobista była szanowaną.

Po nad drzwiami każdego domu, wypisanem było nazwisko właściciela, jego żony, dzieci, służących, jakotéż ilość posiadanych zwierząt domowych, co nadzwyczajnie ułatwiało spis ludności. Ogromne hotele, wspaniałe pałace, zajmowały część miasta. Nad bezpieczeństwem zgromadzonéj ludności, czuwał strażnik znajdujący się na szczycie wysokiéj wieży, obowiązany dawać znać o pożarze lub innych nadzwyczajnych wypadkach; zwyczaj ten ogólny w czasach feudalnych, do dziś przechowanym został w niektórych miastach europejskich.

Stolica w Chinach była punktem środkowym, z którego rozchodziły się znakomicie urządzone i wysadzone drzewami drogi w najrozmaitszych kierunkach aż do granic najbardziéj oddalonych. Co dwadzieścia pięć mil zbudowane były wygodne hotele dla przyjmowania gońców cesarskich i podróżnych; co trzy mile znajdowały się dworce pośrednie, niby dzisiejsze bióra pocztowe, posługujące do przewożenia przez stałych kuryerów, różnych posyłek rządowych, a niekiedy i prywatnych. Nad bezpieczeństwém podróżnych rząd czuwał nawet ze zbytnią gorliwością; co wieczór przychodził do hotelu urzędnik, zapytując o nazwiska osób tamże znajdujących się i cel ich podróży; następnie zamykał ich na klucz, i stawiał wartę, nie w celu pozbawienia ich wolności, ale w zamiarze uchronienia ich od wszelkiego możliwego wypadku. Rano oddawał podróżnych pod opiekę ustanowionego w tym celu kuryera, który dowiódłszy ich do dworca następnego, powinien był przywieźć pokwitowanie z odbioru i zaświadczenie pomyślnie odbytéj podróży. Wszelkie uchybienie ze strony kuryera karanem było surowo.

Marco-Polo zadziwionym był wielu jeszcze innemi szczegółami: użycie węgli ziemnych, będące w pełnym rozwoju w Chinach, nieznanem było w Europie: również jak bilety bankowe i moneta papierowa wyrobiona z kory drzew, za pośrednictwem któréj Khoubilai zastąpił złoto i srebro, znajdujące się w rękach jego poddanych.

Szczególną zwrócił uwagę, na różne zakłady dobroczynne, niepospolitego znaczenia. Ogromne budynki nazwane spichrzami obfitości, posługiwały za skład dla zboża zapasowego, które w razie nieurodzaju rząd sprzedawał po cenach zniżonych. Urządzone były domy przytułku dla starców i podrzutków, szpitale dla chorych, a przed pałacami cesarskiemi, rozdzielano każdego poranku trzydzieści tysięcy bochenków świeżego chleba.

Ludność Chin zwiększaną była w stosunku nadzwyczajnym, z ośmdziesięciu dwóch milionów liczonych w roku 1652, wzrosła ona do pięśset trzydziestu milionów mieszkańców. Okoliczność ta wedle zdania wielu spowodowaną jest silnym rozwojem rolnictwa, poszanowaniem jakiego doznają wszyscy poświęcający się temu zawodowi.

Porównywając opis uskuteczniony przez Marco Polo, ze sprawozdaniami udzielonemi przez dzisiejszych podróżopisarzy i uczonych, dostrzegamy jedne i te same objawy polityczne, społeczne i obyczajowe; Chiny w przeciągu sześciu wieków, nie uległy najmniejszéj zmianie. Główną przyczyną tego stanu, jest nieograniczona i nadzwyczajnie silna miłość następnych pokoleń dla poprzednich; okoliczność ta jest powodem siły ale zarazem i słabości.

(d c. n.)

Przegląd literacki.

(Dalszy ciąg).

Nie mamy pod ręką dzieła Spencera w oryginale, ale jeżeli sprawozdawca wiernie myśl jego oddał, to widzimy tu wykręt niebardzo nawet zręczny, raczéj igraszkę i żart z czytelnika. Żądać bowiem (i to po wymownéj obronie religii) ażeby religia ogłosiła swoją treść za nieprzystępną i niewiadomą jest to poprostu znieść wszelką religią, pomimo poprzednich pięknych słówek. Zaprawdę ciekawa to byłaby religia, któréj katechizm dałby się zawrzéć w następujących kilkunastu wyrazach. *Pytanie.* Co jest religia? *Odpowiedź.* Uzupełnienie wiedzy czyli nauki w tem co się tyczy najwyższéj bezwzględnéj Istoty i jej stosunku do świata i do człowieka. *P.* Co jest owa Istota? *O.* Nie wiemy i wiedziéć nie możemy, bo ta Istota jest dla nas całkiem nieprzystępną. *P.* Zkąd wziął się świat i po co istnieje. *O.* Niewiadomo. *P.* Co jest człowiek? *O.* Niewiadomo. *P.* Jaki jest stosunek Boga do świata i do człowieka? *O.* Niewiadomo i nigdy wiedziéć nie będziemy, bo rzecz to nieprzystępna. Koniec.

Piękne zaprawdę i zadawalniające „uzupełnienie“ wiedzy!

Następnie poddaje autor krytyce zasadniczéj podstawy nauki, czyli raczéj przypomina ważniejsze przez dawnych myślicieli wypowiedziane zarzuty i wątpliwości co do takich zasadniczych wrzekomo objawów i faktów jak przestrzeń, czas, ruch, siła i t. d. Krytyka zdrowa i słuszna, ale i tu znowu jéj wynik nie odpowiada całéj pracy krytycznej. Wykazana bowiem przez ową krytykę ułomność wiedzy ma być naprawioną, jak tego łatwo domyśléć się można, własną teoryą Spencera. Jakaż to jest teorya? Autor mianuje ją teoryą rozwoju (ewolucyi) i ona to właśnie stanowi drugą część jego filozofii, „O rzeczy poznawalnéj,“ a daje się zawrzéć w tych krótkich słowach: „składowe pierwiastki wszech rzeczy były niegdyś w stanie rozproszonym i do tego stanu znów kiedyś powrócą; zatem przejście ze stanu rozproszonego do skupionego jest ześrodkowaniem materyi, a utratą ruchu, przeciwnie zaś przejście ze stanu skupionego do rozproszonego jest powiększeniem się ruchu, a rozproszeniem materyi; ztąd skupianie się materyi i jednoczesne zmniejszanie się ruchu nazywamy rozwojem, zaś rozpraszanie się materyi i powiększanie ruchu jest rozkładem.“

Cała ta teorya, w zastosowaniu do wielu faktów np. chemicznych może być bardzo prawdziwą i ważną. Wątpimy jednak, ażeby mogła ona zastąpić wszelkie wytknięte powyżéj braki dotychczasowéj wiedzy (w zasadniczych pojęciach czasu, przestrzeni, ruchu i t. d.). Biorąc bowiem rzecz logicznie, skoro sam Spencer wyznaje że same pojęcia ruchu i materyi napotykają wiele zarzutów ze strony krytyki rozumowéj, trudno nam pojąć, ażeby te i inne zarzuty mogła usunąć teorya, która właśnie mówi o ruchu materyi. Zresztą zastosowanie téj teoryi do nauk moralnych, do matematyki, do psychologii i innych jest niemożliwem i teorya po większej części pozostałaby chyba przenośnią (jak i zwykle mówimy o *skupieniu* ducha, *rozproszeniu* uwagi i t. d.) P. Kozłowski mówi o teoryi Spencera bardzo szeroko i niezbyt jasno, rozpływając się w przesadnych dla niéj uwielbieniach.

Takie są zalety i wady artykułu, a raczéj zalety i wady nauki pozytywisty Spencera, o ile takowe z rzeczonego artykułu wyciągnąć i zestawić się dadzą; sam zaś artykuł, jak to widać z powyższych uwag, mógłby być napisanym lepiéj, w pierwszéj części obszerniéj, a w drugiéj krócéj, w ogóle zaś

jaśniéj i ze zmysłem krytycznym, na którym p. Kozłowskiemu prawie całkiem zbywa: umie on tylko wykazać się, jako gorący i ślepo wierzący wielbiciel Spencera.

Zasługuje na polecenie krótka rozprawka pana R. A. „O wychowaniu młodzieży" (zeszyt marcowy), odznaczająca się nie nowością uwag i poglądów, lecz praktyczną doniosłością, jako skazówka dla rodziców, jako przypomnienie rzeczy oddawna już powtarzanych, jako jeden jeszcze głos wołającego prawdopodobnie na puszczy! Zwraca tu mianowicie autor uwagę rodziców, mających dzieci w szkołach, że obowiązki ich względem tych dzieci nie kończą się ze sprawieniem mundurka, kupnem książek, opłaceniem wpisu i przyjęciem korepetytora: rodzice obowiązani są ściśle i dokładnie wglądać, czego i jak uczą się w szkołach ich dzieci i nietylko przychodzić w pomoc karności szkolnéj stosownem prowadzeniem domowem, ale nadto uzupełniać w domu nauczanie szkolne np. pod względem języka macierzystego i rzeczy swojskich. Artykuł pana R. A., powtarzamy, ma znaczenie jedynie dla rodziców, bo chociaż porusza on także niektóre wady nauczania i karności w szkołach publicznych, uwagi te wszelako nie mogą w niczem wpłynąć na polepszenie, gdyż nie zależy to od tych, którzy pracę pana R. A. czytać będą, a ci, od których zależy, ani tego czytać ani, choćby czytali, uwagi zwracać na to nie będą. W dwóch tylko punktach nie zgadzamy się z panem R. A. a mianowicie w kwestyi języków starożytnych i w kwestyi starożytnego przysłowia *mens sana in corpore sano* (zdrowy umysł w zdrowem ciele). Co do pierwszego, autor widocznie należy do obozu tak zwanych realistów czyli przeciwników nauki języków starożytnych, błędnie widząc w téj nauce jedynie stronę wokabularną, to jest nabywanie pewnego zapasu wyrazów łacińskich lub greckich.

(d. n.)

Od Redakcyi „Książki jubileuszowéj."

Obliczywszy w dniu 1-ym sierpnia prenumeratorów, podanych przez księgarzy i przez Redakcye, przekonaliśmy się, że ogół ich znacznie przewyższa liczbę drukujących się egzemplarzy: a ponieważ prócz tego codziennie odbieramy nowe żądania, zmuszeni więc jesteśmy o tysiąc egzemplarzy wydawnictwo nasze powiększyć i zawiadamiamy publiczność, że w ten sposób znajdzie się jeszcze zapasowych pięćset do sześciuset egzemplarzy, na które można składać przedpłatę w księgarni pp. Gebethnera i Wolffa do dnia 1-go października. Po upływie terminu tego, w razie gdyby coś jeszcze pozostało z nowéj edyci, cena książki podwyższona zostanie do rubli pięciu bez oprawy i bez przesyłki; była bowiem tak nizką ztąd jedynie, żeśmy druk i papier mieli bezpłatnie. Ale że nakład był nam ofiarowany tylko na trzy tysiące egzemplarzy, a na 1500 dodanych dawniéj i na 1000 przedrukowujących się obecnie, musimy łożyć koszta z przedpłaty, właściwie tedy już po wyczerpaniu trzech tysięcy, byliśmy powinni podnieść przedpłatę. Nie uczyniliśmy jednak tego i teraz jeszcze nie czynimy, dla zachęcenia publiczności do nabycia téj książki, o któréj jak najszersze rozpowszechnienie, wcale nie z pobudek materyalnych, bardzo nam idzie. Publiczność wszakże miała dosyć już czasu i ma jeszcze kilka tygodni na to, aby się zaopatrzyć w tę pamiątkę, jedyną w swym rodzaju; kto więc nie pospieszy ze złożeniem przedpłaty przed 1-ym października, nie będzie już miał prawa skarżyć się o to, że albo wcale nie dostanie „Książki jubileuszowéj," albo drożéj za nią zapłaci.

Dotychczasowa cena: za egzemplarz broszurowany rs. 3, za oprawny w ciemną okładkę rs. 3 kop. 75, w kolorową rs. 4. Za przesyłkę pocztową dopłaca się kop. 50.

Od D-ra Zyblikiewicza, prezydenta m. Krakowa, a zarazem przewodniczącego w komitecie jubileuszowym, otrzymaliśmy dziś następujący *Program* uroczystości Jubileuszu J, I. Kraszewskiego, odbyć się mającego w Krakowie d. 30 września r. b. w połączeniu z otwarciem odnowionych Sukiennic.

1) Rada m. Krakowa wyśle deputacyę z grona swego do Drezna, celem zaproszenia jubilata do Krakowa i towarzyszenia mu w podróży.

2) Dnia 29 września Jubilat w towarzystwie deputacyi Rady miejskiéj przybędzie wieczornym pociągiem do Krakowa. Na dworcu kolei żelaznéj przyjmie go Komitet jubileuszu z Prezydentem miasta na czele i odprowadzi do mieszkania.

3) Dnia 30 września o godzinie 9 rano nabożeństwo w kościele N. P. Maryi. Chóry z towarzyszeniem organów śpiewać będą podczas nabożeństwa dawne polskie pieśni kościelne. Miejsca w kościele będą powyznaczane.

4) Po nabożeństwie odbędzie się poświęcenie i otwarcie odnowionych Sukiennic, a w szczególności poświęcenie gałki szczytowéj, podpisanie dokumentu pamiątkowego odnowienia Sukiennic, przeznaczonego do przechowania go w gałce szczytowéj. Inżynier kierujący budową wręczy następnie prezydentowi m. Krakowa klucze Sukiennic, a Prezydent obwieści otwarcie budynku.

5) W godzinę po otwarciu Sukiennic nastąpi właściwa uroczystość jubileuszu Kraszewskiego. Przedewszystkiem deputacye przybyłe z adresami, darami i powinszowaniami, zajmą wskazane im miejsca w głównéj sali 1-go piętra Sukiennic. Następnie wejdzie do sali Jubilat wprowadzony przez Prezydenta miasta w asystencyi Rady miasta i komitetu jubileuszowego. Jubilat na wstępie do sali będzie powitany kantatą (muzyka Wł. Żeleńskiego, wiersz Asnyka); potem deputacye w kolei oznaczonéj składać będą jubilatowi powinszowania, adresy i dary. Adresy i dary zostaną w salach Sukiennic na widok publiczny wystawione.

6) O godz. 6 po południu, w dolnéj sali Sukiennic uczta składkowa wyprawiona dla Jubilata przez przybyłe na jubileusz deputacye i innych dobrowolnych uczestników uroczystości. Chcący w czasie uczty głos zabierać, winni się zgłosić do Prezydenta miasta najpóźniéj do 27 września, aby koléj toastów mogła być wcześnie przygotowaną i do wiadomości podaną. Do uczty zasiądą sami tylko mężczyźni, dla kobiet będą galerye przygotowane.

7) Dnia 1 października około południa, wycieczka do Wieliczki dla zwiedzenia salin.

O godz. 7 wieczór uroczyste w teatrze przedstawienie, zakończone odpowiednim uroczystości obrazem.

8) Dnia 2 paźdz. bal w Sukiennicach dany przez m. Kraków i kosztem miasta, z powodu otwarcia Sukiennic i jubileuszu Kraszewskiego.

9) Na każdą z powyższych uroczystości wstęp będą miały tylko osoby w odpowiednie bilety zaopatrzone. Aby przeto dla szanownych gości, gorąco upragnionych, przygotować mieszkania i obmyśléć dla nich miejsca w kościele i w Sukiennicach, a zwłaszcza też, aby wiedzieć, na ile osób przygotować ucztę, każdy, co chce być uczestnikiem wyżéj wymienionych uroczytsości, zechce się zgłosić do komitetu Jubileuszu Kraszewskiego, na ręce W-go Zawiłowskiego, sekretarza rady miasta, najdaléj do 15 września b. r. ci zaś, którzy chcą należéć do uczty na cześć Jubilata wyprawić się mającéj, złożą nadto u pomienionego sekretarza 10 złr. od osoby najpóźniéj do 15 września.

Kraków 25 sierpnia 1879.

Przewodniczący komitetu
Dr. Zyblkiewicz.

Sekretarz komitetu *Dr. Adam Asnyk.*

Dokończenie opisów arkusza z krojami

dołączonego do N-ru dzisiejszego.

Fig. 39—49. *Desenie* różne.

Fig. 39. Deseń koronki)do fartuszka ryc.
Fig. 40. Deseń szlaku krzyżykowego)22 w N. 35.
Fig. 41. Deseń wyszycia łańcuszkowego do ryc. 31 w N-rze 35.
Fig. 42. Czwarta część kwadratu koronkowego)do r.
Fig. 43. Czwarta część kw. z siatki gipiurowej)15 w
Fig. 44. Połowa zęba koronkowego)N. 35
Fig. 45. Napięcie szpilek do koronki ryc. 27 w Numerze 36.
Fig. 46. Szlak do krzesła ryc. 6 w N-rze 35.
Fig. 47 i 48. Desenie do ryc. 5 w N-rze 35.
Fig. 49, Gałązka do serwety ryc. 7—10 w N-rze 35.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 21 Августа 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 36, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Ale pomimo całych usiłowań, akcent jéj głosu zdradza osłabienie i boleść.

To powiedziawszy, rzuciła się na wielki rzeźbiony fotel odwrócony od światła i wydawała się w nim tak drobna, wątła, tak prawie dzieckiem, iż w sercu Fanny zbudziło się wielkie współczucie i litość nad nią a niewysłowione oburzenie przeciw niemu. Nie wie co, ale widzi że zaszło coś między nimi, i ma żal do niego. Biedna Iza tak schudła iż wydaje się cieniem siebie saméj, taka smutna i przygnębiona cierpieniem... Czyżby już mu się znudziła? Nie, tego chyba nawet o Eryku przypuszczać niepodobna aby już tak prędko opuszczał żonę dla jakiéjś kochanki.

Serdeczne dotąd obejście Fanny, zamienia się w przymusowe i zimne. Daremnie Eryk sili się na podtrzymywanie wesołéj salonowéj rozmowy; żarciki i dowcipy jego upadają nie podejmowane. Zniecierpliwiony spojrzał na zegarek; wymawia się daném przyrzeczeniem i wychodzi, mówiąc:

„Wiem że gorąco pragniecie pozostać same, aby powierzyć sobie wzajemne swoje wrażenia, obecność moja wam przeszkadza. Ale, uprzedzam cię Fanny, że Iza nie wiele ci powie; brak jéj twojego daru wymowy. Lady Dynely jest żyjącem uosobieniem przysłowia opiewającego: że słowa są srebrem, ale milczenie złotem.

— Może nie będziesz w domu jak przybędzie matka twoja z panem Caryll; mam polecenie zaprosić was na obiad do pani Caryll, rzekła Fanny.

— Choć z wielkim żalem ale zmuszony jestem odmówić; zaproszeni jesteśmy na obiad w ambasadzie. W każdym razie wpadnę do was choć na chwilkę wraz z Izą, jeżli ją migrena opuści. Wielkich ceremonialnych obiadów Iza znieść nie nie może i nigdzie prawie nie bywa.

— A ja myślałam że to „zabawy i uciechy późno w noc się przeciągające, tak źle na nią oddziaływają" odrzekła zimno Fanny.

Eryk roześmiał się i wyszedł rzuciwszy na żonę spojrzenie zdające się mówić:

„Nie waż się żadnych czynić zwierzeń."

Niepotrzebna to była groźba; Iza nie myśli mówić i skarżyć się na niego przed kimkolwiek na świecie Siedzi przechylona w fotelu, blada, milcząca, obojętna na wszystko co ją otacza, na wesoły gwar uliczny, na promienny blask słońca opromieniającego salon.

„Jakżeś ty schudła i zmieniła się, Izo moja, rzekła z współczuciem Fanny. Nie służy ci widać pobyt w Paryżu; trzeba nam będzie nakłonić Eryka, aby wracał z tobą do Dynely.

Oczy Izy zabłysły, blady rumieniec pokrył jéj lica; odrzekła z westchnieniem:

„Ach! gdyby tylko Eryk chciał to uczynić!..

Fanny wpatrywała się w nią bacznie.

„Więc nie lubisz Paryża? zapytała.

— Ja miałabym go lubić!.. Oczy jéj zabłysły ciskając płomienie—Ja go nie cierpię! dodała.

— Nastała chwila milczenia; Fanny jest żywo wzruszona. Wiedziała że Eryk zawsze był płochym, lekkomyślnym, niestałym, wie że niecne samolubstwo swoje posuwa aż do okrucieństwa, ale nie przypuszczała jednak podobnéj nikczemności

— Czy często wychodzisz z domu? zapytała.

— Nie... tak... wyszeptała Iza.

Nie wie co ma odpowiedzieć aby nie skompromitować Eryka.

— Nie lubię wychodzić. Wielkie obiady nużą mnie i nudzą. Wiesz że nie jestem przyzwyczajona do wielko światowego życia.

— Obawiam się czy nie za nadto jesteś osamotnioną.

— O tak!.. to jest nie bardzo!.. Czytam wiele, grywam na fortepianie, a Eryk..

Zamilkła. Nie umie kłamać, a nie może powiedzieć prawdy.

— Eryk naturalnie wiele wychodzi odrzekła spokojnie; nie lubił nigdy siedzieć ciągle w domu, ale wszystko to zmieni się jak powrócicie do Dynely. Postaramy się aby jak najśpieszniéj opuścił z tobą Paryż.

Smutne oczy młodéj kobiety zwróciły się na Fanny z wyrazem niewysłowionéj wdzięczności, ale niezwłocznie znowu odbił się w nich głęboki smutek i obawa.

„Może... może lepiéj nic mu nie mówić, wyszeptała; gotów myśléć że chcesz narzucać mu swą wolę, a znieść tego nie może. Eryk bardzo lubi Paryż, i pewna jestem że się rozgniewa jeżli będziecie nakłaniać go do wyjazdu.

— No, potrafimy przeżyć to straszne nieszczęście, odrzekła wesoło panna Forrester, a zdrowie twoje i... powiem otwarcie, i szczęście, stokroć więcéj zasługują na uwzględnienie niż gusta milorda.

— Ale ja jestem szczęśliwa! zawołała więcéj jeszcze przestraszona Iza doprawdy jestem szczęśliwa.. Czyż mogłoby być inaczéj!.. tak niedawnośmy się pobrali!...

I znowu głos zamarł jéj na ustach. Fanny spojrzała na nią z nieograniczoném współczuciem.

— Tak... tak... jesteś szczęśliwa... Czyż mogłoby być inaczéj?.. biedne dziecię!.. Ale muszę już odejść, umówiliśmy się wszyscy że pójdziemy do Luxemburga... Chodź i ty z nami, Izo, rozerwiesz się trochę.

Lady Dynely wstrząsnęła przecząco głową.

— Nie mogę, rzekła; Eryk mógłby nadejść; gniewałby się gdyby mnie nie zastał.

— Eryk i Eryk, pomyślała zniecierpliwiona Fanny, wybiłabym go z wielką przyjemnością.

— A z resztą podobne wycieczki męczą mnie bardzo, mówiła daléj Iza zmuszając się do uśmiechu, a nie bardzo znam się na obrazach. Przybywszy tu zwiedziliśmy Luxemburg, Louvre, Tuilleries i wiele jeszcze osobliwości, i przypominam sobie że tak mnie to utrudziło iż cały następny dzień cierpiałam na migrenę. Wolę już zostać w domu i czytać książkę... tak wolę zostać.

— Ale będziesz tak zupełnie sama, rzekła z westchnieniem Fanny.

— Nie koniecznie. Eryk przychodzi często na drugie śniadanie, może i dziś przyjdzie. A i Terry zapewne przyjdzie niedługo,—czy wiesz że jest w Paryżu.

— Wiem, Eryk mi powiedział. Doprawdy wolałabym żebyś poszła z nami; przykro mi zostawić cię tak samą w tym ogromnym hotelu. A! to niegodnie!. niegodnie!.. dodała, nie mogąc zapanować nad swém oburzeniem.

Słowa te zasmuciły, przeraziły biedną Izę.

— Ach! nie mów tak, Fanny, zaklinam cię. Nic w tém nie ma złego, rzekła wzdychając ciężko, i ja.. ja tak wolę.

— Eh! cóż znowu, chodź ze mną, Izo, rzekła przerywając jéj Fanny. Skoro nie chcesz iść do Luxemburgu, zostaniesz z babcią Caryll, pokochasz ją niezawodnie, bo to najprzyjemniejsza staruszka na świecie. Potém będziemy obiadować spokojnie w rodzinném kółku, a wieczorem pójdziemy do teatru *Nouveautés*, zobaczyć Felicyę, ową aktorkę tancerkę za którą ugania się cały Paryż.

Ale z wielkiém zadziwieniem Fanny, Iza wyrwała rękę swoją z jéj dłoni i spojrzała na nią rozpłomienionym wzrokiem.

„Nie chcę, nie chcę!.. nigdy nie pójdę do *Nouveautés*, zawołała. Nie chcę patrzeć na Felicyę.. jest to zła, niegodziwa kobieta... niecierpię jéj! nienawidzę!

Mówiąc to drżała od stóp do głów, rozdrażniona do najwyższego stopnia.

Fanny osłupiała.

Wtém Iza zawołała, błagalnie składając ręce.

„Och! ja nie to powiedzieć chciałam... bardzo zawiniłam.. Błagam cię, Fanny, nie wyprowadzaj żadnych wniosków z tych słów moich nieopatrznych, wypowiedzianych w uniesieniu gniewu... Nic nie chciałam przez nie powiedzieć, sama nie wiem co mówiłam.

— Uspokój się, Izo moja, rzekła całując ją Fanny, Eryk wyjedzie z tobą z tego męczącego i zepsutego Paryża, lub nim tydzień upłynie będę wiedzieć co go zatrzymuje.

I wyszła z sercem przepełnioném najgłębszą litością nad tą biedną kobietą, czując zarazem że ta chwila zatruła jéj wszelkie przyjemności jakie obiecywała sobie z téj podróży.

„Oto jaką jest i do czego doprowadza miłość Eryka! pomyślała z westchnieniem. Ach! biedna, biedna Iza!..

Rozdział IX.

W teatrze Nouveautés.

Właśnie miano siadać do drugiego śniadania, gdy panna Forrester wróciła na przedmieście Saint-Honoré. Wchodząc do salonu, zobaczyła zaraz swego wielbiciela siedzącego przy oknie na fotelu; palił cygaro i czytał z zajęciem *Revue des Deux Mondes*. Odłożył zaraz książkę i wpatrywał się w nią z zachwyceniem. Pomyślność i szczęście widocznie oddziałały już na niego. Gordon Caryll, narzeczony panny Forrester, wydawał się o dziesięć lat młodszym od biednego Locksley'a, artysty malarza. Dla Fanny, nikt nie mógł być piękniejszym ani szlachetniejszą odznaczać się postawą.

— Ach! jesteś przecie, ukochana Fanny; już nie-

pokoiłem się co się z tobą stało. Czy wolno zapytać gdzieś była tak długo?

Stanęła za jego fotelem i oparła ręce na jego ramionach, wpatrując się poważnie na tchnącą szczęściem twarz jego, którą podniósł ku niéj, przechylając się przez poręcz fotela. W tem, poważna zwykle Fanny, pochyliła się ku narzeczonemu, i składając pocałunek na jego czole, rzekła:

„I pomyśléć tylko że mogłabym była zostać jego żoną!

Caryll szeroko otworzył oczy. Zadziwił go i ten pocałunek i towarzyszący mu wykrzyknik.

„Mogła byłabyś go zaślubić?... kogo? Gdzieżeś była i co to ma znaczyć? o kimże mówisz? zapytał.

— Mówię o Eryku, odpowiedziała z roztargnieniem.

— I mówisz z tak znękaną miną; jakoś bardzo jesteś smutna, Fanny... Czybyś żałowała że odmówiłaś Erykowi dla mnie?

— A! Gordonie, nawet żartem nie mów mi nigdy podobnych niedorzeczności. Lubiłam Eryka, ale zawsze bardzo lekceważyłam charakter jego i usposobienie, i gdybym była poszła za niego... Ale nie, nigdy nie byłabym mogła zdecydować się na to, choćby nawet nie było na świecie ani Izy Higgins ani niejakiego pana Locksley. Byłam dziś u nich Gordonie.

— Domyślałem się tego ze słów twoich. Jakże się miewają? zapewne dobrze?

— Eryk ma się jak najlepiéj, odrzekła z niechęcią. Później pomówię z tobą o nim, ale Iza... ach! gdybyś ją zobaczył; nie widziałam jeszcze w życiu nikogo coby się tak zmienił...

— Na korzyść? przerwał.

— Gdzież tam! jest zaledwie cieniem siebie saméj. Biedna! smutek i rozpacz wieje z całéj jéj postaci; głos przybrał jakiś grobowy oddźwięk! Eryk jest niegodziwiec!...

— Czy tak? może to przymiot wszystkich mężów, cóż tak strasznego zrobił?

— Nie wiem jeszcze co zrobił, odrzekła z oburzeniem, wiem tylko że biedną Izę wpędzi do grobu. Może powiesz że tak robią wszyscy mężowie? dziś gotowam temu uwierzyć.

Caryll ujął i uścisnął obie jéj ręce.

— Uspokój się, droga Fanny, wszak wierzysz że ja nie będę nigdy mógł być zaliczony do kategoryi podobnych mężów. Żałuję szczerze biednéj lady Dynelly, gdyż teraz zaczynam się obawiać że pogłoski jakie mnie doszły są zgodne z prawdą.

— Pogłoski?... więc słyszałeś już coś?... a nigdy ani wspomniałeś o tem.

— Podobnych rzeczy nie należy powtarzać, tem więcéj że wiedziałem iż tobie sprawi to przykrość a biedną jego matkę dotknie boleśnie. Ale ponieważ zdaje się sama widziałaś jak rzeczy stoją, więc powiem iż mówią że Eryk zaniedbuje żonę i afiszuje się dla...

— Dla aktorki Felicyi! Tak, Gordonie, dla téj tancerki, jestem tego pewna.

— Tak rzeczywiście mówią, ale skądże ty wiesz o tem?

— Odgadłam to ze słów Izy, gdym ją namawiała aby poszła z nami do teatru *Nouveautés* zobaczyć Felicyę.

— Więc cóż takiego powiedziała?

— Że nie chce iść do *Nouveautes*, że nie cierpi, nienawidzi Felicyi, téj niegodziwéj malowanéj kobiety... A! gdybyś wiedział jak ponury ogień zapłonął wtedy w jéj gołębich oczach. Biedna, biedna Iza!

Ogniste oczy Fanny zrosiły się łzami i zaiskrzyły oburzeniem.

„I dopiero sześć miesięcy jak się z nią ożenił!... Ach! Gordonie niecierpię Eryka.

— Fanny moja, rzekł poważnie, nie dręcz się tem i nie martw zbytecznie. Lady Dynely powinna była wiedzieć na co się naraża idąc za Eryka, największego w świecie bałamuta. Gdyby miała źdźbło rozsądku w swojéj ładnéj główce, wiedziałaby że małżeństwo nie dokonywa cudów. Eryk z natury jest lekkiewicz i bałamut; w całéj jego istocie nie ma ani najdrobniejszego atomu stałości. Poszła za niego, musi więc znosić go jakim jest.

— Jest nikczemnik!

— Nie unoś się, ukochana moja; znajdą się łagodzące okoliczności zmniejszające nieco jego winę. Od dziecka wszyscy go psuli, nikt nie śmiał się sprzeciwić. Od kolebki miał wszystko czego tylko raczył zapragnąć; kobiety podziwiały i wychwalały pod niebiosa błękitne jego oczy, złote włosy i grecki profil. Może z czasem pozbędzie się wad swoich, nie kłopocz się więc zbytecznie, droga Fanny, bo oboje nie zdołamy temu zaradzić, nie możemy osłodzić losu biednéj Izy... A biedna rzeczywiście, bo mówią że Felicya bezlitośnie najgrawa się i dręczy swoje ofiary.

— Czy widziałeś ją, Gordonie?

— Nigdy. Gdy w roku zeszłym występowała w Londynie, byłem bardzo zajęty, a potem żywiłem nieprzeparty wstręt do teatru. Zobaczę ją dziś wieczór.

— Wszak ona to kupiła twój obraz przedstawiający *Zmrok*?

— Tak, Venturini kupił go dla niéj. Wówczas obiecałem nawet odmalować jéj drugi obraz stanowiący *pendant*. Mówią że ma zaślubić księcia zaraz po jego powrocie z Włoch.

— Co! książe miałby się ożenić z taką kobietą?...

— Z jakąż to bezgraniczną pogardą wypowiedziałaś „z taką kobietą“ Jednak kobiecie téj nie zarzucają nic prócz wstrętnéj kokieteryi.

— Ależ on jest księciem a ona tancerką.

— To nic nie znaczy; dziś potomkowie najznakomitszych rodów żenią się z aktorkami. Ja tego pojąć nie mogę, ale to rzecz inna, bo jak mówi przysłowie: kto się na gorącem sparzył, to na zimne dmucha.“

— Biedna Iza! rzekła z współczuciem Fanny.

— Masz słuszność biedna Iza! bo mówią że Eryk do szaleństwa zakochany w téj zalotnicy. Ale może też przesadzają. Czy przyjdą na obiad?

— Nie, Eryk wymówił się wcześniejszém z obowiązaniem, a Iza taka znękana że nie ma odwagi wyjść z domu. Otóż i lady Dynely. A zapomniałam powiedzieć że Terry jest w Paryżu.

— Terry... Terry Dennison!... zawoła żywo lady Dynely. Czy być może!... gdzież stoi, Fanny?

— W *Grand-Hotel*. Wymknęłam się dziś rano i poszłam odwiedzić młode małżeństwo.

Oczy lady Dynely zabłysły.

— Byłaś u nich, Fanny?... widziałaś Eryka?

— Widziałam Eryka, mamuniu.

— Jakże się miewa? czy przyjdą do nas na obiad?

— Eryk ma się jak najlepiéj; ma obiadować w ambasadzie. Jednakże wpadnie tu przywitać cię, milady.

— Właśnie idzie, rzekł Caryll, który wyglądał oknem.

Fanny prędko wybiegła z pokoju. Nie była teraz w usposobieniu witać uprzejmie i słuchać czczéj gadaniny jego lordowskiéj mości, wicehrabiego Dynely.

Poszła do swego pokoju i zdjąwszy kapelusz i narzutkę udała się do pani Caryll. Matka Gordona była sparaliżowana na nogi; więc całe dnie spędzała leżąc na szezląngu. Mimo to na jéj niemłodéj ale pięknéj jeszcze twarzy widnieje wewnętrzna pogoda i zadowolnienie.

Z oczu jéj znikł wyraz niecierpliwości, niepokoju i trwogi, jaki przez lat tyle uderzał każdego zbliżającego się do niéj. Odzyskała nareszcie syna którego opłakiwała tak długo i niczego już nie pragnie na świecie.

Zadzwoniono na śniadanie. Zniesiono panią Caryll; Fanny poszła za nią. Z wielkiem jéj zadowoleniem Eryk odszedł a natomiast zobaczyła Terrego, który także bardzo jest zmieniony, i wydaje się bardzo poważny i smutny.

„Byłaś dziś rano w *Grand Hotel*, Fanny, rzekł siadając przy niéj. Czy widziałaś Izę?

— Tak, Terry, odrzekła patrząc na niego z współczuciem.

— I wiesz już?

— Wiem wszystko. Biedna Iza! trzeba koniecznie żeby Eryk jak najprędzéj odjechał z nią stąd do Anglii.

— A gdybyż chciał, odrzekł Terry, ale ani słyszéć o tem nie chce. Niepodobna łudzić się nadzieją: zabiję ją swojem postępowaniem. Ale wtedy dodał zaciskając zęby, ja zażądam od niego rachunku...

— Terry, pójdziesz dziś z nami; Gordon zajmuje się swoją Fanny, ja nie mam nikogo, jesteś mi potrzebny, rzekła swoim zwyczajem lady Dynely.

I biedak znów dostaje się pod dawne jarzmo. A takby pragnął co prędzéj wrócić do hotelu, zobaczyć i pocieszyć biedną stroskaną Izę... daremnie. Westchnął tylko, ale nie rzekł ani słowa. Cały ten piękny wiosenny poranek przepędzono za domem, wrócono dopiero na obiad, po którym panie poszły ubierać się do teatru.

„Na ciebie spada obowiązek towarzyszenia paniom, rzekł do Terrego Caryll, pokazując list odebrany. Jest to list od jenerała Mac Larey, pod którego komendą służyłem w Ameryce; mieszka w *hotelu Mirabeau*, a że wyjeżdża jutro rano, prosi koniecznie abym przyszedł do niego wieczorem. Czy zgoda, Terry? myślę jednak że uda mi się przyjść do teatru przed końcem pierwszego aktu.

— Zawsze powtarzam Terremu że przeznaczeniem jego być męczennikiem społecznym, rzekła Fanny. Chodzić w tę i ową stronę, szukać i przynosić, spełniać to lub owo zadanie, oto dola twoja od kolebki, mój biedny Terry, poświęcać się zawsze dla czegoś lub kogoś.“

Tak więc, gdy podniesiono zasłonę i rozpoczęło się przedstawienie *Czarownicy*, Gordon Caryll nie przyszedł jeszcze do loży. Wspaniale oświetlony ładny ten teatrzyk był przepełniony; powiew wachlarzy roznosi różne upajające wonie; damy w lożach lśnią od klejnotów i brylantów.

Felicya gra i tańczy z niezwykłem podnieceniem; lord Dynely powiedział jéj że cała jego rodzina ma być dziś w teatrze aby wydać sąd o jéj grze z zimnem, krytycznem usposobieniem angielskiem. Rozmawiali o tem wesoło w buduarze aktorki, gdzie jego lordowska mość bawił daleko dłużéj niż trwały jego odwiedziny na przedmieściu Saint-Honoré.

Przysunęła się na sam brzeg sceny, ze złotą czarą w ręku; z włosami rozpuszczonemi, które w bujnych zwojach spadały na ramiona, i zaczęła śpiewać dziką, bachancką piosenkę á la Teressa. Jes

olśniewająco piękna w swoim baletniczym stroju, a głos jéj wyraźnie rozlega się po sali; lecz podnosząc czarę ku końcowi swego wyuzdanego śpiewu, przekonała się że ten którego czekała nie znajduje się w loży.

Czyby ją poznał? Nie widział ją nigdy od owego tak już odległego czasu, gdy w zmrok wieczorny rozstali się ostatecznie po nad brzegami kanadyjskiéj rzeki. Jest przekonany że ona nie żyje, czy téż ją pozna. Dzika radość przejmuje całą jéj istotę, błyszczy w oczach, rozpłomienia policzki.

Czy téż ją pozna? Gdy przyjdzie, zaśpiewa ten sam romans który śpiewała dla niego wówczas gdy się pierwszy raz spotkali w kotażu majora Lovell. Nadaje się on wybornie do dramatycznéj akcyi téj sztuki, która zresztą mniéj zasadza się na intrydze, niż na tańcu i śpiewie. Gdyby miał jakąś wątpliwość, niezawodnie pozna ją po tym śpiewie.

Jest nadzwyczaj podniecona a nawet wzruszona; grą swoją dzisiejszą przewyższa samą siebie, to też sala trzęsie się od oklasków. Gra z nadzwyczajnem przejęciem i ogniem, a zarazem z dziką energią i dziwną naturalnością porywającą widzów i wywołującą szalone brawo. I ciągle wpatruje się w lożę a jego nie ma. Czy może nie przyjdzie?

Po ukończeniu pierwszego aktu, zanim spuszczono kurtynę, zarzucono ją gradem bukietów, odezwał się grzmot oklasków.

„A! jak gra, jak gra! Jaka wdzięczna akcya i ruchy, nigdy jeszcze nie tańczyła z takim ogniem!... A co za głos!... Co za urocze zjawisko ta Felicya!...

Te i tym podobne okrzyki i oklaski, odzywają się ze wszystkich stron, od parteru do paradyzu.

„Rzeczywiście jest piękna, rzekła Fanny, ale jakąś szatańską pięknością jakiéj nigdy w życiu jeszcze nie widziałam. Śpiewa i tańczy jak prawdziwa bachantka!

— Należałoby ją spalić jak prawdziwą czarownicę! mruknął Terry. Podobne kobiety trzebaby zamykać w klatkach jak tygrysice, a nie zostawiać ich na wolności.

— Śpiewa dobrze, rzekła lady Dynely, ale jest w jéj grze coś nienaturalnego, przesadzonego. Nie lubię podobnych przedstawień. Już sam balet często zbyt bywa rażący, po cóż jeszcze potęgować go podobnie nieprzyzwoitemi dodatkami. Czego ona tak ciągle wpatruje się w naszą lożę? uważałam że od początku przedstawienia nie spuszcza z niéj oczu?

— Upatruje tego kogo tu nie ma. Eryk jest tam, w loży obok orkiestry, odrzekła Fanny z pewnym odcieniem pogardy.

Lady Dynely przechyliła się przykładając lornetę do oczu.

— Rzeczywiście jest w loży sam jeden. Gdzież Iza?

— W domu i także sama jedna, możesz tego być pewną, milady, odrzekła z oburzeniem.

— Nie wiem czy nas widzi? A! teraz zobaczył; wstaje, najniezawodniéj zaraz do nas przyjdzie. Fanny, spójrz w tę stronę; Eryk ci się kłania.

Ale Fanny patrzy uparcie na podnoszącą się kurtynę, aby nie widzieć lorda Dynely, który także odwraca oczy, bo czuje jakie potępienie wyczytałby w jéj wzroku. Przyszedł dziś do teatru, tak dla tego iż nie zdołałby oprzéć się żądzy oglądania na scenie Felicyi, jakotéż dla okazania że nic sobie nie robi z odgróżek Terrego.

„Co! nie miałby być na tem przedstawieniu dla tego że się to nie podoba Terremu i pannie Forrester? czyż to on dziecko aby go wodzić na pasku i uczyć jak ma postępować? O! nic z tego nie będzie!

Opuścił też wcześnie salony ambasady i udał się do teatru *Nouveautés* i umyślnie podczas drugiego aktu takie zajął miejsce, aby go z loży jego rodziny dobrze widziéć można. Zdawało mu się że objawiając tak jawnie swoją fantazyę i samowolę, da dowód niezłomnéj woli i siły charakteru. Nie pomyślał o tem że tak postępując i pomiatając przysięgą wykonaną u stóp ołtarza, zasiewał wicher, zatem prędzéj czy późniéj przyjdzie mu zbierać burzę.

Co prawda, zaraz od kolebki, matka tak mu dogadzała, tak psuła i pieściła, tak zadawalniała najniesforniejsze jego fantazye i zachciewki, iż prawie trudno się dziwić że stał się samowolnym, zarozumiałym i upartym. Daléj otoczenie w jakiem spędził pierwsze trzy czy cztery lata młodzieńczego wieku, nie mogło zaszczepić w nim gruntownych zasad moralnych ani wysokiego pojęcia o wartości kobiet, a już z natury był nadzwyczaj płochy i niestały. Jednak wadliwe to wychowanie i wpływ towarzystwa nie usprawiedliwiały jeszcze podobnie niecnego postępowania. Ożenił się z kobietą wybraną przez siebie, dobrą, ładną i kochającą go całą siłą młodego swego dziewiczego serca; gdyby miał w duszy najlżejsze poczucie uczciwości i sumienia, a choćby tylko poszanowania dla samego siebie, nigdyby nie był zajął tego miejsca, nie afiszował się okazywaniem publicznie swego zajęcia się tą malowaną Jezabel, jak gdyby mniemał że właśnie tak postępując spełnia swój obowiązek.

I w drugim akcie, Felicya budzi szalony zapał; niezliczona liczba bukietów pada na scenę. Lord Dynely okazuje się jednym z najzapaleńszych wielbicieli; rzuca bachantce bukiet z białych i ponsowych kamelij, ona jednak niewiele zwraca na to wszystko uwagi i prawie nie spuszcza oczu z loży w któréj chciałaby zobaczyć tego co dotąd w niéj się nie ukazał.

Przyszedł nareszcie przed skończeniem drugiego aktu; uśmiech zadowolnienia zagrał w oczach i na ustach Felicyi.

„Spóźniłem się, rzekł, ale tyle mieliśmy do pomówienia z Mac-Larey'em, a tak mało na to czasu. Fanny, czy lubisz podobne przedstawienia?

— O nie! Ta kobieta porywa widza, ale jakimś strasznym, szatańskim urokiem; jéj śpiew i rozhukany taniec sprawiają gorączkę.

— Czy daleko jeszcze do końca? zapytał opierając się o jéj krzesło.

— Jeszcze jeden akt, w którym, jak mi powiedział Terry, ma być spaloną żywcem; chcę to widzieć. Wyobrażę sobie że to prawda i wielką mi to sprawi przyjemność.

— Ach! rzekł śmiejąc się Caryll, jakże to krwiożercze objawiasz instynkta!... A! otóż i lord Dynely!

Jakoż drzwi się otwarły i wszedł Eryk, piękny, uśmiechnięty, rozpromieniony.

„Jak się masz, Caryll; tak późno przychodzisz.

No, jakże, matko, i cóż Fanny, jakże wam się podobało przedstawienie? Nieprawdaż że to doskonała aktorka?

I mówiąc to, wyzywająco spogląda na Fanny; przyjęła to czelne wyzwanie.

„Zapewnie, jeźli dziwaczny taniec, rażące pozy, śpiewanie hulaszczych, nieprzyzwoitych piosenek i rzucanie się po scenie jak obłąkany w swéj celi, stanowią przymioty doskonałéj aktorki, to jest nią Felicya. Ale nie jest i nigdy nie będzie prawdziwą artystką.

Oczy jego zabłysły, odpowiedział jednak śmiejąc się:

— O gustach trudno dysputować; zyskała jednak ogólne uznanie publiczności.

— Gdzież Iza? zapytała nagle Fanny; zdało mi się że mieliście być razem na obiedzie w ambasadzie?

— Iza została w hotelu; nie mylisz się że mieliśmy obiadować w ambasadzie, ale poszedłem w końcu sam, a potem przyszedłem tu wiedząc że się znajdę w kółku rodzinnem.“

Słowom tym towarzyszyło śmiałe spojrzenie, ale Fanny odwróciła się od niego. Narzeczony stoi za nią, wsparty o jéj krzesło; ach! jak go kocha i jak bezgranicznie mu ufa. Jakże on różny jest od tego młodego dandego z pustą głową i bez serca!... Gdy zostanie żoną Gordona, jakże to życie jéj odmiennem będzie od życia biednéj Izy!...

Gdy myśli te przesuwały się w jéj umyśle, kortyna podnosi się po raz trzeci i Czarownica wbiega na scenę.

Śpiewa zbliżając się do brzegu sceny; tym razem towarzyszy jéj chór strzelców. Za nią postępuje szereg figurantów w stroju zielonym, ozdobionym złotem, i łączy śpiew swój z chórem. I Czarownica ma kostium zielony ze złotem, a na kruczych włosach mały myśliwski kapelusik z wielkiem białem piórem. W tem ubraniu wydaje się jeszcze więcéj olśniewająco piękna; spojrzała na lożę i twarz jéj zapromieniała radością. Tym razem zaczęła śpiewać śpiew który Rozamunda Lowell śpiewała dla Gordona Caryll siedmnaście lat temu, w domku majora w Toronto.

Rzuciła na lożę ogniste, elektryczne spojrzenie.

A! jest on! jest nareszcie! Gdyby zdolną była się modlić, w téj chwili z duszy jéj uleciałaby modlitwa dziękczynna, że spełniło się jéj gorące, tak dawno żywione pragnienie.

Widzi ją, słyszy, poznaje śpiew... poznaje ją!

A! wybiła nareszcie godzina jéj tryumfu!... tyle lat czekała na nią... to téż jest ożywiona i podniecona niewymownie, nigdy nie grała z takim ogniem. Przykuwa do siebie uwagę i wzrok widzów; swój śpiew grobowy śpiewa z taką duszą, siłą i śmiertelną trwogą zarazem, krzyk konania wydała tak prawdziwy i przerażający, że nawet Fanny zadrżała i zbladła. Płomienie wznoszą się, ogarniają Czarownicę, ale po nad niemi widać jeszcze twarz jéj zwróconą ku niebu i zanim kurtyna zapadła, śpiew jéj cichnie powoli w mękach konania.

Chwilę jakąś wszyscy zostają pod wpływem tak silnego wrażenia iż nikt prawie odetchnąć nie może, ale niebawem teatr zatrząsł się od oklasków i przywoływań tak szalonych, iż zdaje się niemożebnem aby je ludzkie głosy i ręce sprawiać mogły.

Felicya ukazuje się uśmiechnięta i tryumfująca; na podziękowanie ręką posyła pocałunki publiczności. I znów rozlega się nowy grzmot oklasków; rzuciła ostatnie spojrzenie na lożę w któréj znajdował się Gordon Caryll, i znikła za kulisami.

Osoby będące w téj loży, zabierały się do wyjścia.

— Oh! zawołała ze drżeniem Fanny; jest w tem coś szatańskiego! nigdy już w życiu nie chcę widzieć podobnych przedstawień... Jakże ty je sądzisz, Gordonie?

Odwróciła się ku niemu; ale on jéj nie widzi, nie słyszy, patrzy przed siebie osłupiały.

„Gordonie! zawołała.

Odwrócił oczy od sceny, ale twarz jego zachowała wyraz zdumienia, prawie przerażenia; ciemna cera zamieniła się w śmiertelnie bladą.

„Gordonie! powtórzyła z wyrazem wielkiego niepokoju, co tobie?

Na to pytanie otrząsł się z osłupienia, lecz tylko wysiłkiem woli zdołał odpowiedzieć:

„Nic, nic, wychodźmy.

Głos jego nawet zmienił się bardzo; jest jakiś ostry i urywany. Machinalnie podał jéj rękę, nie zważając że kładzie zarzutkę i nie pomając jéj; nareszcie wsparła się na jego ramieniu, wychodzą, ale znać że Caryll idzie bezwiednie, jakby lunatyk.

— Och! Gordonie, co się tobie stało, zawołała przerażona; czy znasz tę kobietę?

To pytanie budzi go z odrętwienia; ocknął się, poznaje straszną prawdę.

„Na miłość Boską, zawołał, nie pytaj mnie dziś o nic... zaczekaj do jutra."

Fanny szeroko otworzyła oczy; nic nie pojmuje, ale czuje że stało się coś strasznego. Wyszli przed teatr; zimno jest ale niebo zasiane gwiazdami. Wsadził do powozu lady Dynely i Fanny, ale nie wsiada z niemi. Eryk i Terry pożegnali się i odeszli.

„Nie wsiadasz z nami, Gordonie? zapytała lady Dynely.

— Nie, odrzekł krótko, a zwracając się do stangreta, dodał: Jedź do hotelu!

Powóz ruszył; Fanny wychyliła się i ujrzała jak stał sam jeden, nieruchomy, przerażony, jakby przykuty do miejsca.

Rozdział X.

Po dniach wielu.

Poznał ją! od pierwszego wejrzenia; od pierwszéj chwili gdy śpiew jéj usłyszał wiedział już że ta kobieta była jego żoną. Śpiew jéj, to ta sama pieśń którą śpiewała dla niego przed tylu laty w domu majora Lowell; on czuje i wie że i dziś śpiewa ją dla niego.

Ta wpół-naga tancerka, to jego żona, o któréj był pewny że umarła przed dziesięciu laty; od pierwszéj chwili nie wątpił, nie mógł wątpić o tem. Zresztą, nic się prawie nie zmieniła; przy mocnem, białem świetle gazowem, nie wydaje się więcéj jak na lat ośmnaście, tylko uderzająca, zmysłowa jéj piękność silniéj się uwydatnia, jest więcéj ziemska i materyalna. Zatarły się nieco delikatne zarysy pierwszéj młodości, ale jest może więcéj olśniewającą jeszcze w całéj pełni swéj rozkosznie wyzywającéj piękności; on widzi to wszystko i wpatruje się w nią zdumiony, osłupiały.

Tak, to ta sama kobieta którą zaślubił niegdyś pod nazwiskiem Rozamundy Lowell!

Jego żona! żona! słowa te brzmią mu w uszach i w mózgu i podkładają się uporczywie pod muzykę i nutę jaką ona śpiewa; gdy tańczy, stopy jéj te słowa kreślą mu na posadzce sceny.

Jego żona! ta istota tańcząca na scenie i śpiewająca w tym stroju, czyli raczéj prawie pozbawiona go zupełnie i robiąca z siebie publiczne widowisko; to jego żona!

Żyrandole, twarze, scena, wszystko to kręci się w koło niego jakby w czerwonéj płomiennéj mgle; ściska konwulsyjnie poręcz krzesła; zęby jego się zacisnęły. Wielki Boże! czyż Nemezys do końca życia mścić się na nim będzie, za jeden szalony młodociany jego wybryk?

Wtem słodki, miły głos Fanny, obija się o jego uszy:

„Jakże ci się to podoba, Gordonie? pytała z uśmiechem.

Ta piękna, czysta twarz dziewicza, te śliczne wzniesione ku niemu oczy, ten wdzięczny pełen ufności uśmiech, uderzyły go w téj chwili jakby śmiertelnym ciosem. W pierwszéj chwili strasznego swego odkrycia, nie pomyślał o Fanny, zapomniał o niéj; teraz wpatrując się w nią pojmuje że to pojawienie się żony wydziera mu narzeczoną.

Nie ma siły odpowiedzieć jéj; czuje że głowa jego płonie. Widzi że wlepiła w niego zadziwione, niespokojne wejrzenie, ale nie może ukryć miotających nim wrażeń; chce przemówić ale głosu wydobyć nie może z piersi, sam nie rozumie dźwięków jakie gardło jego wydaje.

Skończyło się przedstawienie, zasłona spadła, ona znikła za kulisami. Może nareszcie odetchnąć gdy ta fatalna postać usunęła mu się z przed oczu. Wszyscy opuszczają swe miejsca. Lady Dynely wychodzi wsparta na ramieniu syna; Fanny patrzy na niego niespokojnym wzrokiem.

Wsadził je do powozu i pozostał sam.

Sam, choć setki ludzi przechodzą i mijają się koło niego, choć liczne głosy i śmiechy obijają się o jego uszy, choć bulwary są zatłoczone a wielka stolica wrze jeszcze życiem.

Zdjął kapelusz aby chłodny wiatr orzeźwił jego płonące czoło. Co tu począć? pyta siebie; od czego mam zacząć?

Rozamunda żyje, widział ją na własne oczy, a Fanny Forrester nie zechce nigdy zaślubić człowieka którego żona żyje jeszcze. Przypomina sobie że raz poważnie rozmawiali z sobą o tem; pamięta doskonale całą rozmowę.

„Gdyby ona żyła, mówił, i tylko wyrok rozwodowy uwolnił mnie od niéj, czy kochałabyś mnie, czy zostałabyś moją żoną?

Fanny zwróciła na niego swe wymowne, szczere i dumne spojrzenie, i odrzekła stanowczo:

— Gdyby żyła i tylko wyrok rozwodowy uwolnił cię od tego poniżającego związku, mogłabym cię pokochać ale nigdy nie mogłabym zaślubić. Nie wierzę w rozwody; mężczyzna jedną tylko może mieć żonę, i śmierć tylko może rozerwać łączące ich węzły.

Później nigdy już nie mówił z nią, a nawet i nie myślał o tem, ale teraz wszystko żywo stanęło mu w pamięci, widzi że już na zawsze utracił Fanny Forrester.

W uniesieniu, pod wpływem strasznéj rozpaczy, powstało w umyśle jego niedorzeczne przypuszczenie i chwycił się jéj jak tonący chwyta się napotkanego źdźbła trawy. Nie, to nie jest, to nie może być jego żona! to tylko nadzwyczajne, przypadkowe podobieństwo... może to jaka jéj krewna albo siostra... mogła przecież mieć siostrę, choć nigdy nie słyszał o tem.

Nie! to nie jest, to nie może być Rozamunda Lowell!... Umarli nie wracają na ziemię, a ona przecież już dziesięć lat temu została zabitą skutkiem wypadku na kolei... Znajdzie się przecie ktoś znający przeszłość téj Felicyi... Może to tylko tak nadzwyczajne ale przecież nie bezprzykładne podobieństwo, musi się przekonać... Ale ktoby tu znał dobrze Felicyę?

Owładnięty tą dziwną myślą, uderzył się ręką w czoło; stara się zebrać myśli.

A! zawołał, wiem, pewny jestem że zna ją Terry Dennison; on będzie mógł mnie objaśnić,... muszę biedz go wyszukać...

I sam nie wiedząc że tak prędko pędzi, zaczął biedz w kierunku *Grand-Hôtel* i tam w wspaniale oświetlonym przedsionku, zastał Terrego palącego cygaro. Tego wieczoru Eryk był w nader łaskawem usposobieniu, raczył prosto z teatru pójść do żony.

Dłoń jakaś opadła ciężko na ramię Terrego, i wzruszony głos zawołał: Terry!

Dennison odwrócił się i spojrzał z zadziwieniem.

— Ach! to ty Caryll?.. o téj godzinie!... Co się stało? jesteś tak...

— Nic się nie stało, przerwał, chcę z tobą pomówić, chodźmy!

I wziął go pod rękę i pociągnął ku bulwarom.

Terry wyjął z ust cygaro i mierzy towarzysza niespokojnym wzrokiem.

— Musiało się coś stać, tak jesteś zmieniony...

— Mniejsza o to... Powiedz mi, Terry, czy znasz Felicyę?

Dennison osłupiał usłyszawszy to niespodziewane pytanie. Po chwili roześmiał się głośno.

„Co? i ty także, Gordonie? A! to już nadto!

— Nie śmiéj się, odrzekł zniecierpliwiony, odpowiedz mi: Czy znasz tę kobietę?

— No... tak.

— Blizko?

— Tak... dosyć... mogę powiedzieć że ją znam dobrze.

— Jakaż jest jéj historya?

— Co?

— Kto ona jest? zkąd tu przybyła? jak się nazywa rzeczywiście? pytał naglące.

Dennison milczy patrząc na niego z niewysłowionem zadziwieniem.

— Mój drogi... wybąknął nareszcie.

— Do pioruna! krzyknął Caryll, odpowiedz że mi.

Terry widzi że jest coś w tem, ale co nie pojmuje.

— Kto ona? zkąd przybywa? i cóż jeszcze? Jakże chcesz żebym ci odpowiedział na te pytania? Mógłby to uczynić chyba jéj spowiednik, gdyby go miała.

— Wszak powiedziałeś że znasz ją dobrze?

— Znam ją o tyle o ile większość ludzi zna osoby z któremi ma jakieś stosunki, ale czyż to dostateczne? Cóż wiemy w ogóle o znajomych? Ach! cierpliwości, Caryll'u; powiem ci chętnie co wiem o niéj, ale wiem niewiele. Pytaj o co chcesz, tylko nie bądź taki jakiś podbudzony i rozdrażniony.

Nastała chwila milczenia. Terry czekając zaczął znów palić cygaro.

Gordon Caryll zdołał nareszcie zapanować nad sobą, i rzekł spokojniéj.

— Wybacz moją niecierpliwość, Terry, ale to nader ważna dla mnie kwestya, chodzi tu prawie o śmierć lub życie.

Terry zrobił wielkie oczy, ale milczy.

— Dziś pierwszy raz w życiu widziałem Felicyę; jest ona zadziwiająco podobna do pewnéj kobiety, która... która nie żyje od lat dziesięciu. Potrzebuję koniecznie dowiedzieć się o jéj przeszłości, i dlatego przyszedłem do ciebie.

— Pytaj, odpowiem co będę wiedział.

— Czy Felicya była kiedy w Ameryce?... czy była kiedy w Kanadzie?

— Mówi że nie była, ale...

— Cóż ty myślisz o tem?

— Myślę że była. Tak zawzięcie zawsze się tego wypiera i zaprzecza, iż od pierwszéj chwili gdy to mówiła, zdawało mi się że mija się z prawdą, a od wczoraj jestem tego pewny.

(*d c. n.*)



N. 1. Sukienka z vêtement dla małej dziewczynki. N. 2. Sukienka dla dziecka lat 2—4. Patrz ryc. 2 w N. 35. Krój na ark. N. II F. 8—11.



N. 3. Sukienka dla dziewczynki lat 3—5. Patrz ryc. 44. N. 4. Ubranie dla małego chłopca.

Opis do N. 35.

(Dokończenie).

Kieszonki 16 cent. szerokie, z tyłu 9 wysokie, do przodu są zwężone do 7 i pół cent.; mankiety przy spodniej części rękawa 13 cent. wysokie zwężają się z wierzchu do 10 centym. Patka przy środkowej części pleców dodana ma 21 cent. długości a 5 szerokości. Wypustki z ciemniejszego materyału.

N. 20 — 21. Futerał na widelce, noże lub łyżki zrobiony z płótna szarego, podszytego ponsową flanelą. Zmniejszony rysunek i miary połowy futerału na sztuk 12 podajemy na arkuszu N. XI, Fig. 37. Szlaczek do wyszycia kolorowo na kanwie, ryc. 19 w N. 36.

N. 25. Kapa lub serweta wyszyta na rzadkiem płótnie lub kanwie kongresowej szarego koloru, dwoma cieniami koloru bordo, włóczką i filozelą, ściegiem krzyżowym. Deseń złożony z różnych poprzednio podawanych wzorów.

N. 26—27. Fartuszek bluzkowy dla dzieci, odrobiony z kolorowego płótna lub perkalu, albo z białego batystu i przyozdobiony wstawkami i szlaczkami białego haftu, lub robionemi kolorami ściegiem krzyżowym albo słowiańskim, wskazanym na ryc. 37—40 w N. 32 Tyg. Krój N. IV, Fig. 21—22.

N. 28. Płaszczyk podróżny. Odrobiony był z jasno popielatej alpagi, formą luźną paletotową, z dodaniem pelerynki; kołnierz z klapkami i mankiety z materyału w kratę białą i popielatą.

N. 29—30. Ubranie ze stanikiem paletocikowym i tuniką. Krój tuniki na arkuszu z formami N. VIII, Fig. 34.

Rycina 29 przedstawia suknię jasno popielatą beżową, trochę powłóczystą spódnicą, której garnirunek stanowią taśmy 1 centym. szerokie, naszyte kilka razy w odstępie pół cent.; a na ryc. 30 widzimy suknię czarną kaszmirową, niedotykającą ziemi, ozdobioną



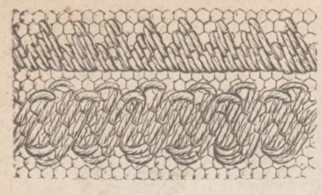
N. 5. Vêtement princesse. N. 6. Vêtement à panier.



N. 7. Suknia ze stanikiem bawetowym i spódnicą à panier. Krój stanika jak do ryc. 21 w N. 31.

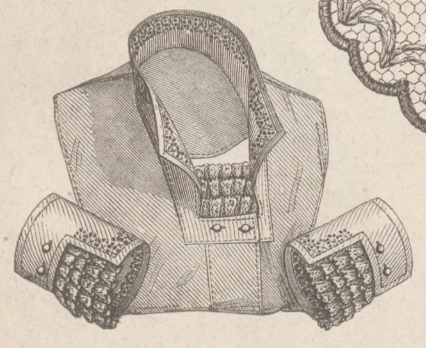


N. 8. Suknia biała pikowa.

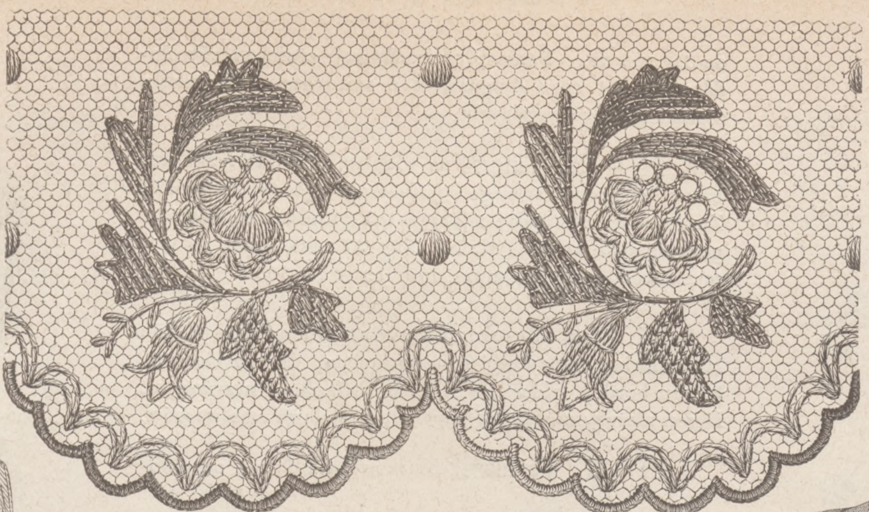


N. 10. Wywodzenie na tiulu do ryc. 12—13.

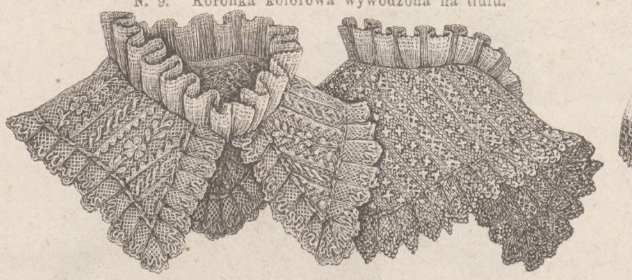
plisą atłasową 6 centym. szeroką naszytą dżetem i frendzlą jedwabną 10 cent. szeroką, przerabianą promieniami dżetowemi. Na Fig. 34 podane są miary draperyi tunikowej, której przedni bryt *a* w fałdy ułożony, z jednego boku zeszywa się z przyfałdowanym brytem tylnym, z drugiego boku dodany jest mały brycik *b* z tylnego brzegu trochę przyfałdowany i podsunięty pod bryt tylny, podpięty w pukle.



N. 14. Kołnierzyk i mankiety ozdobione koronką.

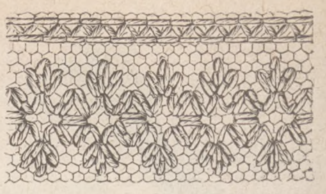


N. 9. Koronka kolorowa wywodzona na tiulu.

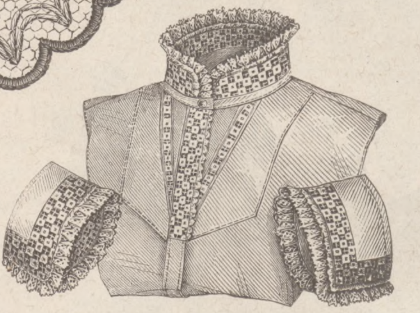


N. 12—13. Kołnierz szeroki tiulowy. Patrz ryc. 10 i 11. Krój na ark. N. XII Fig. 38.

ranwersy, drugie zaś części nie zszywają się na 15 cent. wzdłuż tylko łączą kokardami. Małe kieszonki są z jednej strony przyszyte patką 13 cent. długą, 2 i pół szeroką; sukienka ta jest z materyału wełnianego śliwkowego koloru, ozdobiona atłasowemi pliseczkami.



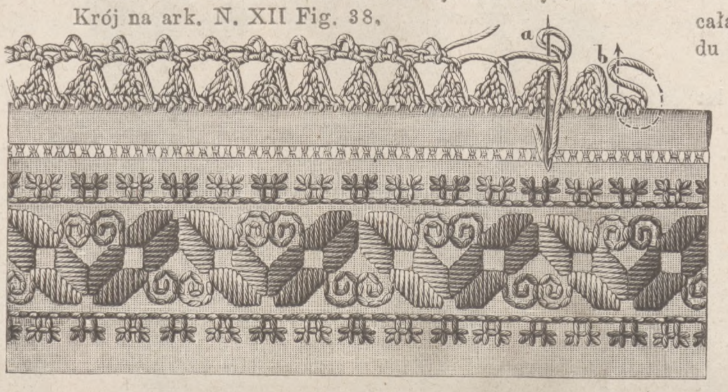
N. 11. Wywodzenie na tiulu do ryc. 12—13.



N. 15. Kołnierzyk stojący i mankiety ozdobione haftem.

N. 31 — 32. Przykrycie na doniczkę z kwiatami.

Na skośnie przykrojonem podwójnie wziętem szarem płótnie, drelichu lub dymie angielskiej dopasowanem do wielkości doniczki i z tyłu zapinanem na guziczki, haftuje się ściegiem płaskim lub łańcuszkowym, albo maluje modnemi farbami deseń wskazany na rycinie 31. Model był u góry oszyty ząbkami z tasiemki, tego co pokrycie koloru, potem u góry i u dołu wstębnowane było jeden przy drugim, 5 rzędów grubego sznurka, na których z wierzchu dodane było bawełną w dwóch kolorach, wyszycie wskazane na ryc. 32. Na środku wyszyty był deseń dwoma kolorami, ściegiem łańcuszkowym, rzędami pojedynczemi i ściśle jeden przy drugim układanemi.



N. 16. Szlak gobelinowy z obrębem i zakończeniem koronkowem arlizny, penioa- meńskiem do bielizny, serwet i t. p.

N. 3 i 44. Sukienka dla małej dziewczynki lat 3—5. Krój podług ryc. 20 do 21 w N. 23.

Podług powyżej wskazanego kroju można z całą łatwością dopasować tę sukienkę; każda część przodu liczy po 51 centym. długości a 35 szerokości dolnej, plecy zaś są po 40 cent. długie po 14 u dołu szerokie i dopełnione częścią sfałdowaną z kawałka 19 i pół centym. długiego a 80 szerokiego, wszytą u góry w oddzielny pasek. Kołnierzyk 8 centym. szeroki, mankiety po 7 cent. i kwadratowe kieszonki po 10 cent. długie, przyszywają się podług ryc. 3.

N. 4. Ubranie dla małego chłopczyka. Krój podług ryc. 24 w N. 23.

Składa się z bluzy i majtek przykrojonych podług powyżej wskazanej formy trochę powiększając dolny brzeg bluzy wszyty w pasek 2 cent. szeroki opatrzony dziurkami przypina się do majtek lub do spodniego staniczka. Wykrój szyi w bluzie dany podłużnie, dopełniony marynarskim kołnierzem, z tyłu 29 cent. szerokim. Pliski 2 i pół cent. szerokie i guziczki okrągłe stanowią przybranie.

Opis do N-ru 36.

N. 1. Sukienka z vêtement dla małej dziewczynki.

Na zaplisowaną w fałdy spódniczkę włożone vêtement z krótkiemi rękawkami wycięte pod szyją i otwarte z przodu aż do paska. Pierwsze części pleców mają u dołu małe, skośnie odwinięte

N. 5. Vêtement princesse.

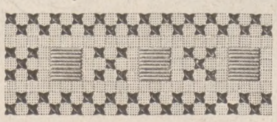
Rycina 5 przedstawia suknię z materyi faille koloru zielonawo niebieskiego; vêtement z przodu formą princesse ma plecy przykrojone na długość stanika z baskiną i dopełnione lekko podpiętym prostym brytem. Podpięcie przodów garnirowanych koronką wskazuje ryc. 5; spódnicę z trenem zdobi



N. 17. Koszula negliżowa męzka. Krój na ark. N. VII Fig. 28—33.



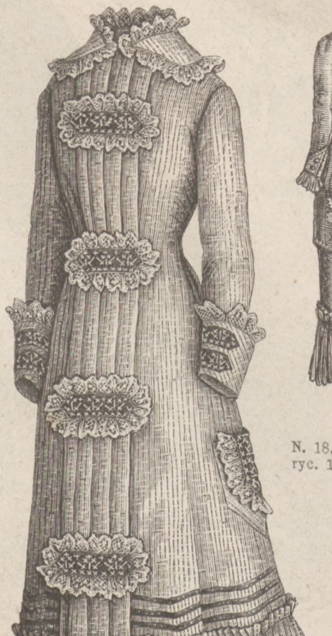
N. 18. Plecy do ryc. 1 w N. 35.



N. 19. Szlaczek do ryc, 20—21 w N. 36.



N. 20. Ubranie spacerowe. Patrz r. 42



N 21. Suknia princesse dla panienki lat 10—12. Patrz rycina 22.



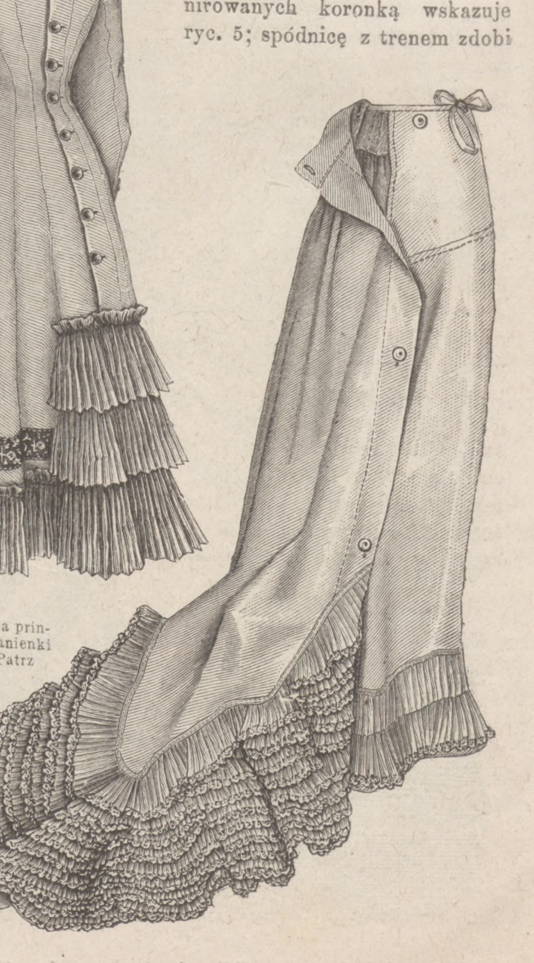
N. 22. Suknia princesse dla panienki lat 10—12. Patrz rycina 21.



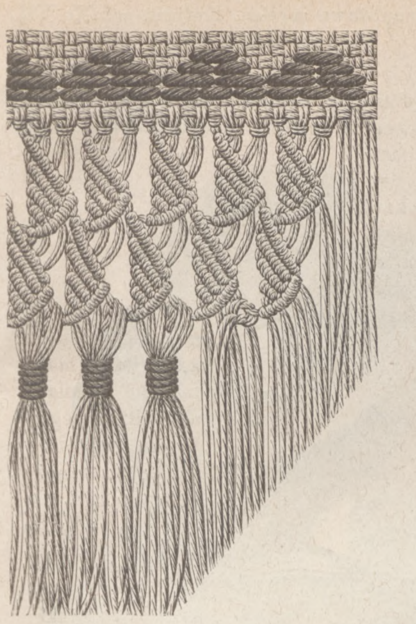
N. 25. Spódnica z trenem. Krój na arkuszu Nr XI Fig. 35.



N. 23—24. Kaftanik negliżowy.

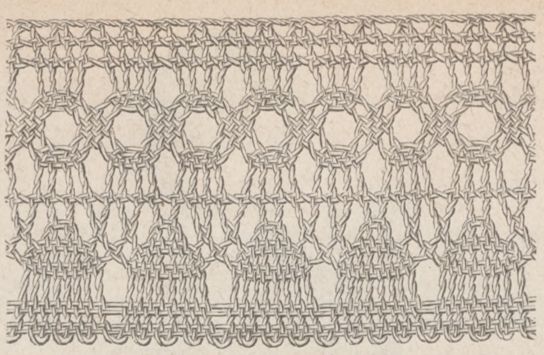


N. 26. Spódnica z przypinanym trenem. Krój Nr X, Fig. 36.

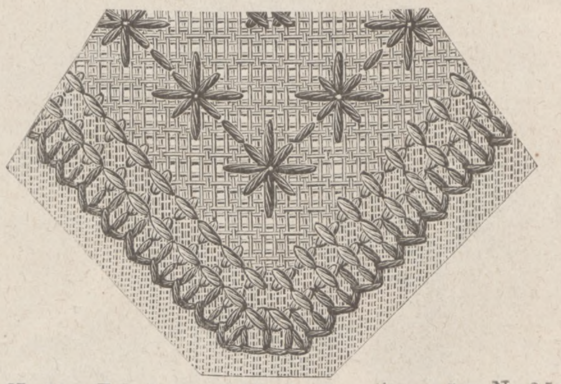


N. 29. Frendzla macramé do ryc. 4 w N-rze 35.

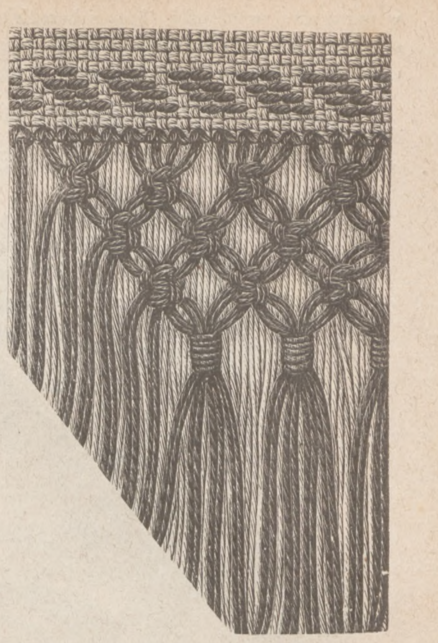
trzy rzędy zachodzącego na siebie plisowania po 8 cent. szerokiego. Oryginalne przybranie kwadratowego wykroju stanika, wskazane na ryc. 5, składa się z koronkowego kołnierza i walansjenki; rękawy sięgające do łokci. Na głowie barbka.



N. 27. Koronka niciana deseń na ark. Fig. 45.



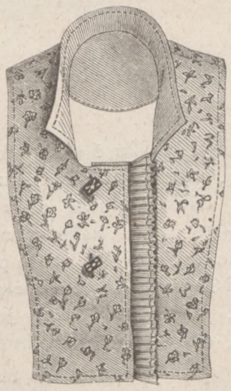
N. 28. Ząb do serwetki „Andrassy“ ryc. 5 w N. 35.



N. 30. Frendzla macramé do ryc. 4 w N-rze 35.

N. 6. Vêtement à panier.

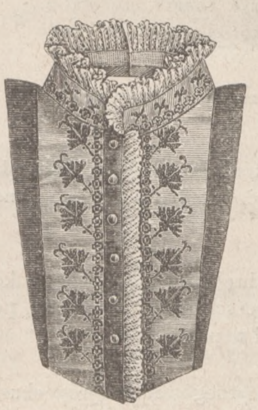
Suknia nie sięgająca do ziemi, przeznaczona dla młodej panienki jest z kolorowego batystu lub lekkiego wełnianego materyału. Vêtement podpięte jest z tyłu w ten sposób iż z przodu tworzy rodzaj panier, zakończonego potrójną plisą. Środkiem przodów dany szmizetkowy garnirunek z koronki; rękawy przybrane odpowiednio; pasek szeroki fałdowany spięty kokardą. Na rękach mitenki jedwabne.



N. 32. Szmizetka kamizelkowa z kwadratowym wykrojem. Krój na ark. N. V Fig. 23—25.



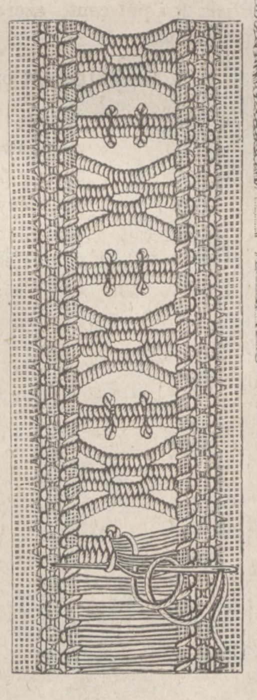
N. 31. Serweta podłużna, wyszycie w tamborku, Deseń na ark. N. 24.



N. 33. Szmizetka kamizelkowa z wyszyciem krzyżykowem. Krój na ark. N. VI F. 26—27.

N. 7. Suknia ze stanikiem z bawetem i spódnicą à panier. Krój stanika podług ryc 21 w N. 31.

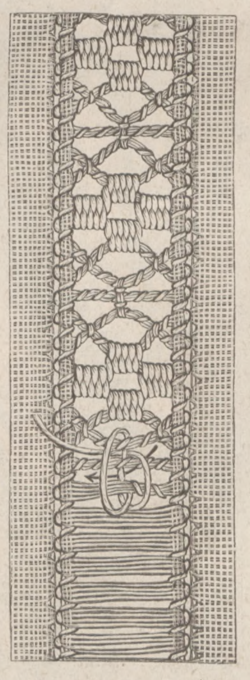
Elegancka ta toaleta wykończona jest z materyi gładkiej i w deseń mille-fleurs. Stanik z głębokim kwadratowym wykrojem z przodu ścięty bawetowo, ma z tyłu dość długą w kontrafałdy złożoną baskinę. Skos gładkiej materyi 20 cent. szeroki, sfałdowany do wcięcia stanu dalej luźny puszczony, tworzy nowy rodzaj przybrania, przechodzącego z wierzchu panier aż do pleców i kończącego się pód baskiną stanika. Draperya na spódnicy zakończonej szerokim plisowaniem, składa się z dwóch brytów; przedni bryt 80 cent. długi, przyszyty w odstępie 21 cent. od górnego brzegu spódnicy, zakończony u dołu 30 cent. szerokim pasem materyi deseniowej jest z boków ścięty skośno i nadmarszczony a u dołu oszyty 6 cent. szerokiem plisowaniem. Tylny bryt 60 cent. szeroki, 105 długi u góry złożony w kontrafałdę podwójną i wszyty w pasek, oszyty jest plisą mille-fleurs 9 cent. szeroką i plisowaniem z jednego boku podpięty w głęboki pukiel z drugiego spuszczony gładko na tren. Części panier schodzące się z przodu pod bawetem, ogarnirowane plisowaną 8 centym. szeroką koronką są upięte podług ryciny a z tyłu brzegami sfałdowanemi zachodzą pod bryt tylny. Kokardy z wąskiej dwukolorowej wstążki.



N. 35. Kratka ażurowa do ryc. 34.



N. 34. Zakończenie do szarf, krawatów, rolet i t. p. Robota ażurowa wiązana macramé. Patrz ryc. 35—36.



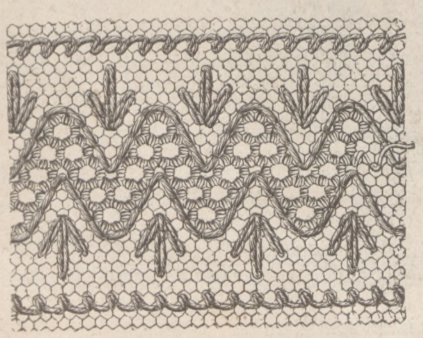
N. 36. Kratka ażurowa do ryc. 34.

N. 8. Suknia z białej piki.

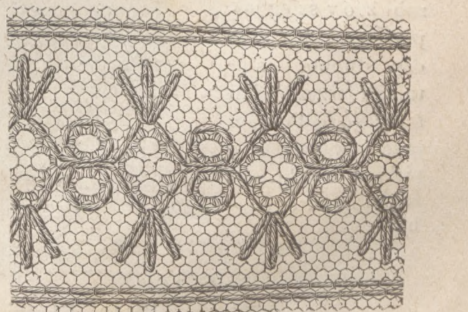
Jakkolwiek upięcia à panier stanowią nowość najmodniejszą jednak nie są one stosowne do materyałów grubych, mięsistych lub sztywnych i w takim razie zastępują się tuniką, draperyą lub innego rodzaju upięciem. Rycina 8 przedstawia suknię z białej piki, której przód i boki są bardzo wysoko zaplisowane; tylny bryt od góry tworzy lekko odstającą bufę u dołu zaś część stanowiąca tren jest oddzielnie zaplisowana i przyszyta pod kokardą. Z boków dodane są dwa oddzielne gładkie bryty, w jednym tylko miejscu założone w fałdę krzyżujące się z przodu a z tyłu wpuszczone na szwie. Stanik otwarty podłużnie ma baskinę frakową, rozciętą u dołu i dopełnioną plisowaniem.

N. 10—13. Kołnierz szeroki tiulowy. Krój na arkuszu Nr XII, Fig. 38.

Krając kołnierz potrzeba tiul na środku z tyłu położyć prosto; wywodzenie na tiulu dane niemi płaskiemi wdojakiej grubości, zaczyna się z tyłu od środka w ząb, w dalszym zaś ciągu paski prostują się stopniowo jak to widać na ryc. 13. Rycina 10 i 11 załącza deseń wyszycia



N. 37. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 38. Wszywka wywodzona na tiulu.

w naturalnej wielkości, lecz z brzeżkiem tylko z jednej strony. Brzegi kołnierza otacza plisowana koronka 3 cent. szeroka; przy wykroju szyi riusza z crêpe-lisse.

N. 14—15. Kołnierzyki i mankiety.

Odpowiednie do sukien wyciętych kwadratowo lub podłużnie; zagarnirowanie z koronki przy kołnierzyku i mankietach ryc. 14 jest bardzo ładne i zupełnie w nowym rodzaju.



N. 40. Kapelusz dla małej dziewczynki.



N. 39. Stanik z baskiną i kołnierzem chusteczkowym.



N. 41. Kapelusz dla małej dziewczynki.

N. 16. Szlak gobelinowy z obrębem i zakończeniem koronkowem armeńskim, do prześcieradeł, poduszek, peniuarów i t. p.

Deseń naśladowany ze starożytnego szlaku przy chustce, odpowiedni do przyozdobienia bielizny, odrobiony na grubem tle płóciennem filozelą szafirową i łososiową. Małe luźne ściegi liczą 3 nitki wzdłuż; puste kwadraciki w środku ku prążków idących skośnie liczą po 6 nitek wzdłuż i wszerz. Haft gobelinowy można wykonać kolorami lub biało na kanwie Jawa lub płótnie kanwowem grubą bawełną, nićmi świecącemi lub włóczką gobelinową. Zakończenie koronkowe armeńskie przyrabia się wprost do obrębu, trzema rzędami podług r. 16. W pierwszym rzędzie robią się ząbki ściśle; na każdym potrzeba trzy ściegi zajęte w obrąbek w sposób wskazany wyżej na ryc. 16 pod literą *a*, potem poprzedza się nitkę na ścieg wskazany przy *b*, między pierwszym i drugim ściegiem, dalej między drugim i trzecim robi znów ścieg jak przy *a* i znów między dwoma ostatniemi jeszcze jeden ścieg *b*. Poczem przeprowadza się nitkę w środku obrąbka na drugi ząbek.

N. 17. Koszula negliżowa męzka. Krój na ark Nr VII, Fig. 28—33.

Ma kołnierz wykładany, szerokie paski przy rękawach i zakładkę ozdobioną wyszyciem krzyżykowem, na oddzielnym pasku 2 cent. szerokim, bawełną czarną i szafirową, pasek ten przystębnowany jest z brzegów jak pliska. Koszula kraje się z dobrego perkalu podług Fig. 28—29; linje zakończone strzałkami przedłużają się o tyle aby długość stanu przedniego i tylnego wynosiła 82 i 85 cent. od wykroju pachy, dolna szerokość po 82 cent. Na szyi związany jest gruby sznur jedwabny 130 cent. długi zakończony kwastami.

N. 20 i 42. Ubranie spacerowe.

Suknia z szarego batystu z vêtement krótką á panier podpiętem ozdobiona szlakami wyszytemi ściegiem płaskim, długim lub krzyżowym i koronką bretońską. Spódnica nie sięgająca ziemi ma w górnej połowie bufy płasko namarszczone przyszyte u dołu szlakiem z pod którego wysuwa się plisowanie z koronką. Takież plisowanie, szlak i falbana marszczona 10 centymetrów szeroka zdobi dół sukni. Żabot i kieszonki koronkowe. Parasolik z tego co suknia materyału, zakończony szlakiem; kapelusz biały słomkowy zdobny piórem i wstążką atłasową.

d. n.



N. 42. Ubranie spacerowe. Patrz ryc. 20. N. 43. Suknia z plisowaną spódnicą. N. 44. Sukienka dla dziewczynki lat 3—5. Patrz ryc. 3. N. 45. Suknia ze stanikiem z kamizelką.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 35 i 36.

N. I. Paletot z odcinaną baskiną. Rycina 16—17 w N-rze 35.

Fig. 1. Przód (A, B, I, K, L, :, *)
Fig. 2. Boczek (A, B, C, D) • • • • •
Fig. 3. Połowa pleców (C, D, E, F, G, H, I, K) 1 założenie
Fig. 4. Część baskiny (D, E, F, *, +, .)
Fig. 5. Rękaw (L, M, N, O)
Fig. 6. Kołnierz (G, :)
Fig. 7. Kieszeń (+, .)

N. II. Sukienka wycięta dla dziecka lat 2 — 4. Rycina 2 w N-rze 35 i 36.

Fig. 8. Połowa przodu (Q, R, U, V, W)
Fig. 9. Boczek (Q, R, S, T, V) ⟷ ⟷
Fig. 10. Połowa pleców (S, T, U) — ○ — ○ —
Fig. 11. Rękaw (W, X) × • × • × • × •

N. III. Paletocik z karczkiem i paskiem, do 1 w N-rze 35 i ryc. 18 w N-rze 36.

Miara objętości przez połowę 52 cent. w gorsie.

Fig. 12. Połowa przodu (a, f, g, m)
Fig. 13. Boczek (a b, c) 1 założenie
Fig. 14. Pierwsza część pleców (b, c, d, e, h) 1 założenie
Fig. 15. Druga część pleców (d, e, i) 1 założenie

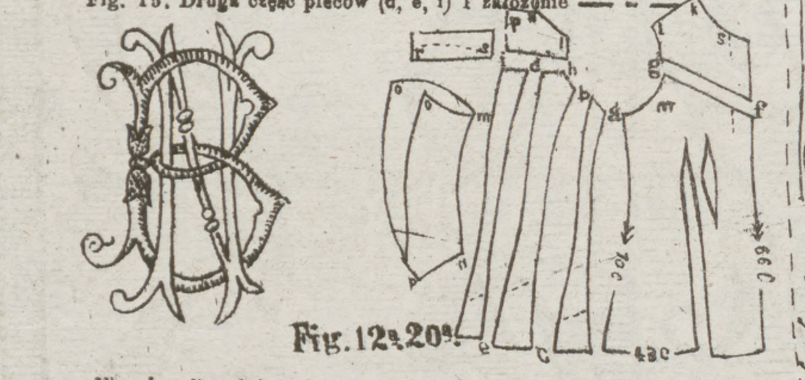


Fig. 12a 20a.

Fig. 16. Przednia połowa karczka (f, g k l, s) + + + +
Fig. 17. Tylna połowa karczka (h, i, k, l, r)
Fig. 18. Rękaw (m, n, o, p)
Fig. 19. Mankiet (o, p, q)
Fig. 20. Połowa kołnierza (r, s)

Fig. 12a 20a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 12 20.

N. IV. Fartuszek dla dziecka lat 2—4, Rycina 26—27 w N. 35.

Fig. 21. Połowa przodu i pleców (*, :)
Fig. 22. Połowa kieszonki (*, :)

N. V. Szmizetka z kwadratowym wykrojem. Ryc. 32 w N. 36.

Fig. 23. Przód (t, u, w)
Fig. 24. Połowa pleców (t, u, v) * * * *
Fig. 25. Połowa kołnierza (v, w) ○ ○ ○ ○

N. VI. Szmizetka kamizelkowa. Rycina 32 w N-rze 36.

Fig. 26. Połowa szmizetki (x, y)
Fig. 27. Pasek (x, y)



Fig. 36. Fig. 35.

N. VII. Koszula ranna męzka. Rycina 17 w N-rze 35.

Fig. 28. Połowa przedniej części stanu (1, 4, 5, 7, × 1 i · 1)
Fig. 29. Połowa tylnej części stanu (1, 2, 8, *)
Fig. 30. Połowa karczka (2, 3, 4, 5, 6) — * — * —
Fig. 31. Połowa rękawa (1, 10)
Fig. 32. Połowa paska do szyi (6, 7, 8, 9)
Fig. 33. Połowa kołnierza (8, 9) — × — × —

N. VIII. Tunika do sukni ryc. 29—30 w N-rze 35.

Fig. 34. *a* bryt przedni, *b* klin boczny, *c* bryt tylny.

N. IX. Spódnica z przyszytym trenem. Rycina 25 w N-rze 36.

Fig. 35. Wskazanie kroju połowy spódnicy *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* bryt tylny, *d* połowa trenu.

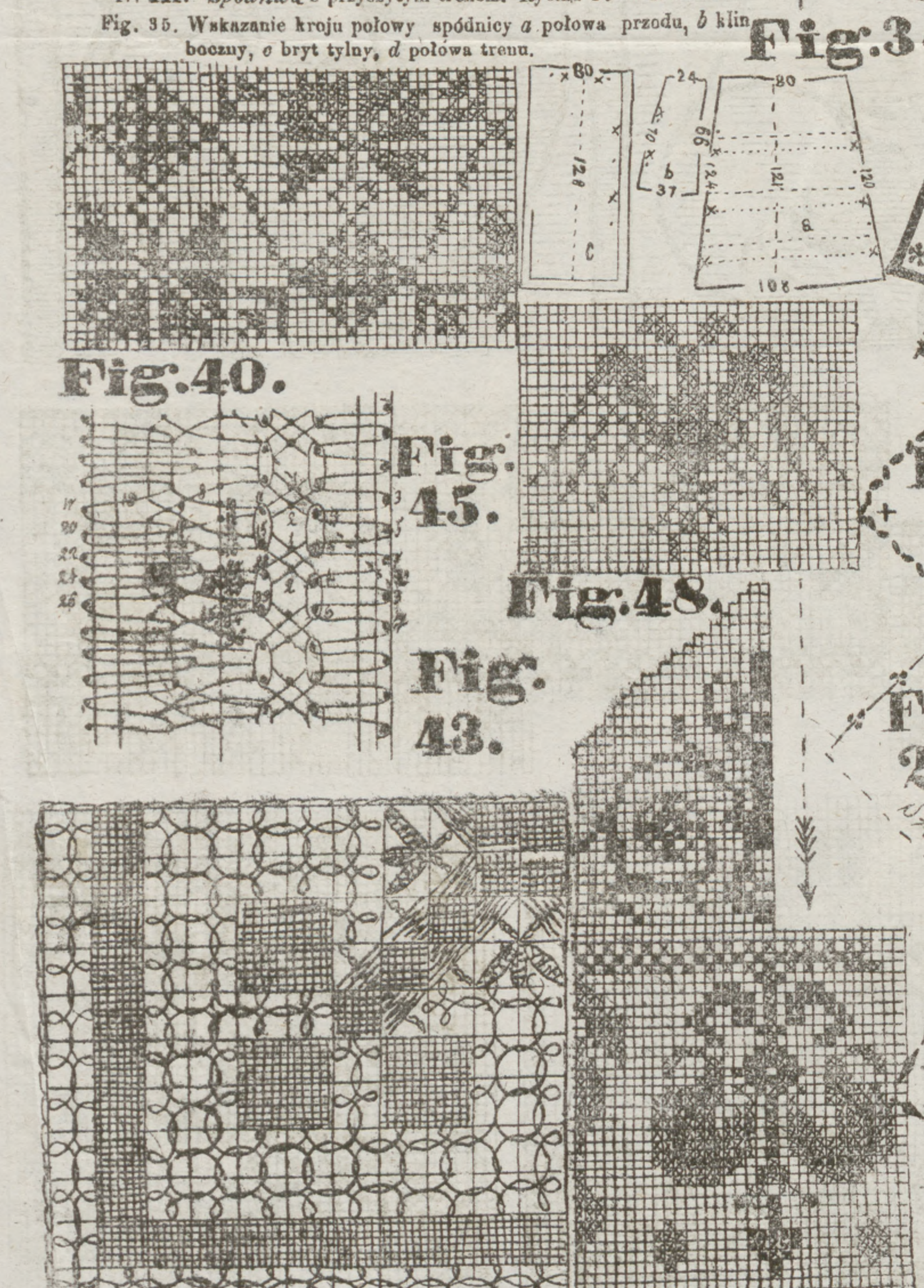
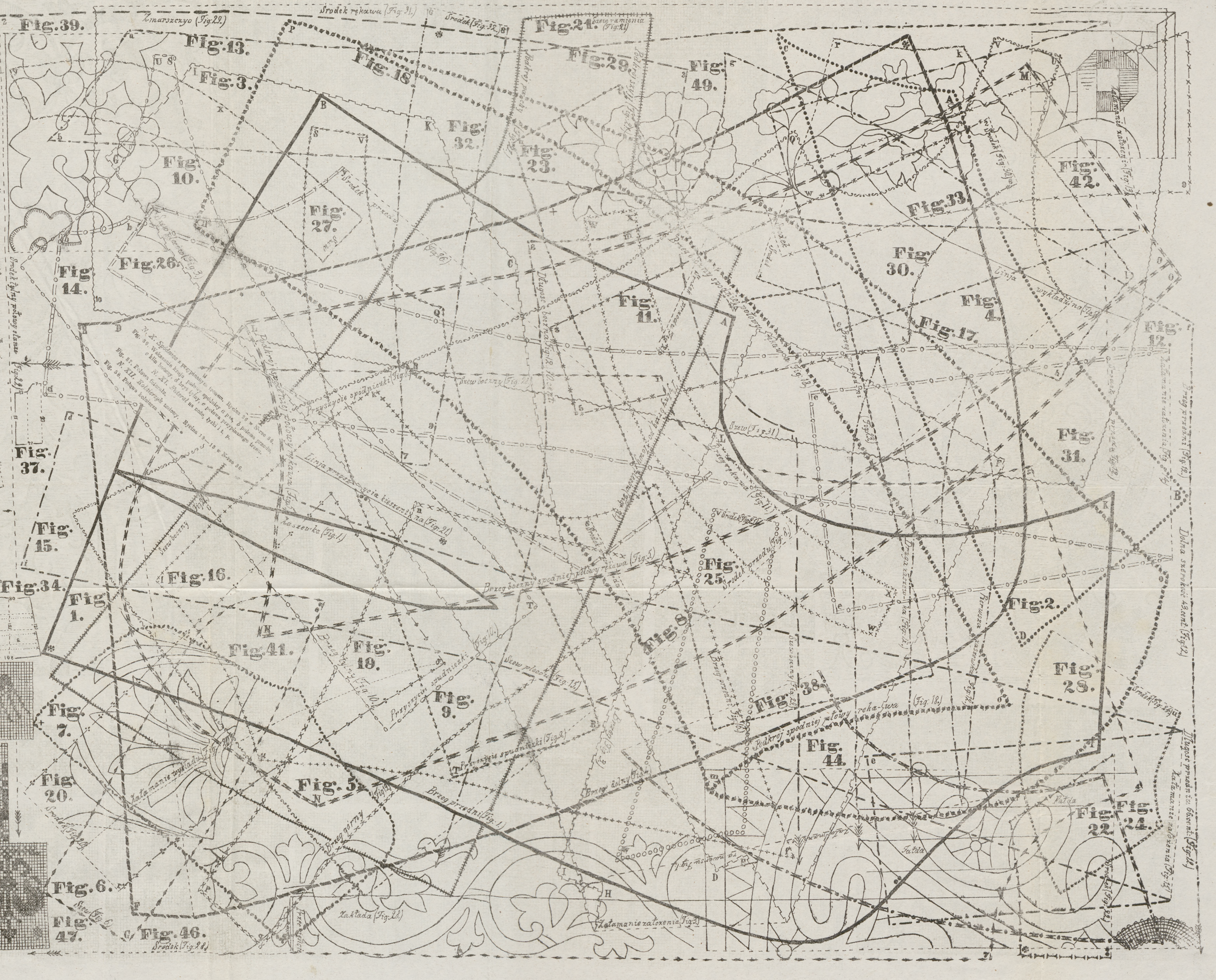



Fig. 34. Fig. 40. Fig. 45. Fig. 48. Fig. 43.





22.
23.
24.
20.
21.
9.
6.
2.
17.
13.